BŁAWATEK

KALENDARZYK DAMSKI

na rok 1907

LWÓW

LIT. A. PRZYSZLAK LWÓW.

KALENDARZ DAMSKI

„BŁAWATEK"

NA ROK

1907.





NAKŁADEM FLORENTYNY I WANDY — LWÓW.



KALENDARZ ŚWIĄTECZNY POWSZECHNY.

Suchedni.

a) w Środę, Piątek i Sobotę po pierwszej niedzieli postu, to jest: 20, 22 i 23 Lutego;

b) w Środę, Piątek i Sobotę po Zielonych Świątkach, to jest: 22. 24 i 25 Maja;

c) w Środę, Piątek i Sobotę po podwyższeniu św. Krzyża to jest: 18, 20 i 21 Września;

d) w Środę, Piątek i Sobotę po święcie św. Łucyi, to jest: 18, 20 i 21 Grudnia;

Wigilie

a) do Zielonych Świątek;
b) do śś. Apostołów Piotra i Pawła;
c) do Wniebowzięcia Najśw. Maryi Panny;
d) do Wszystkich Świętych;
e) do Niepokalanego Poczęcia N. Maryi Panny;
f) do Bożego Narodzenia;

Wigilia przypadająca w Niedzielę, przenosi się na Sobotę poprzedzającą.

Jeżeli uroczystość Bożego Narodzenia przypada w Piątek lub w Sobotę, w tych dniach postu nie ma.

Dnie krzyżowe.

W poniedziałek, Wtorek i Środę przed Wniebowstąpieniem Pańskiem, to jest 6, 7 i 8 Maja.

Święta ruchome.

według kalendarza rzymsko-katolickiego

Popielec	13. lutego
Wielkanoc	31. marca
Wniebowstąpienie Pańskie . . .	9. maja
Zielone Święta	19. maja
Boże Ciało	30. maja

Święta ruchome.

według kalendarza grecko-katolickiego

Nedila Miasopustna	25. fewruara
Nedila Syropustna	4. marta

Woskresenyje Chrysta	. . . .	22. apryiłja
Woznesenyje Hospoda	. . . .	31. maja
Soszestwie św. Ducha	. . . .	10. junija
Wsich światych	. . . .	17. junija
Konec postu pered śś. Petr. i Paw.		28. junija.

Zaćmienia przypadające w roku 1907.

W roku 1907 przypadają dwa zaćmienia słońca i dwa zaćmienia księżyca, z których tylko drugie zaćmienie księżyca częściowo u nas będzie widzialne.

I. Zaćmienie słońca dnia 14. stycznia. zaczyna się o godzinie 5 minut 26 rano, a kończy się o godzinie 9 minut 52. — Widzialne będzie w północno-wschodniej Afryce, w schodniej Europie i Azyi, z wyjątkiem wschodniej połowy Syberyi północnej.

II. Zaćmienie księżyca dnia 29. stycznia, zaczyna się o godzinie 1 minut 39 popołudniu, a kończy się o godz. 1 minut 39. —Widzialne głównie w północnej Ameryce. na wielkim Oceanie, w Australii, Azyi, na Oceanie indyjskim i Europie wschodniej.

III. Zaćmienie słońca dnia 10. lipca, zaczyna się o godzinie 2 minut 8 popołudniu, a kończy się o godzinie 7 minut 48. — Widzialne będzie w południowo-wschodniej części wielkiego Oceanu, w Ameryce południowej, na południowej połowie Oceanu atlantyckiego i na południowo-zachodnich wybrzeżach Afryki.

IV. Zaćmienie księżyca dnia 25. lipca, zaczyna się o godzinie 4 minut 37 rano, a kończy się o godzinie 7 minut 14. — Widzialne będzie w zachodniej połowie Europy, w Afryce na atlantyckim Oceanie, w Ameryce i na południowej połowie Oceanu wielkiego.

Panującą planetą w r. 1907 jest Merkury.

O roku 1907 należącym do lat pod panowaniem planety Merkury, pouczają długoletnie doświadczenia, iż będzie w ogólności więcej suchy i zimny. — Prawdopodobnie wiosna będzie sucha i zimna, lato dżdżyste, jesień pogodna z wczesnymi przymrozkami, zima ostra.

W ogóle urodzaje w tym roku niedostateczne.

STYCZEŃ

ma dni 31.

Słońce wstępuje w wznak WODNIKA dnia 21

Dnie tygodn.		ŚWIĘTA rzymsko-katol.	ŚWIĘTA grecko-katol.		IMIONA SŁOWIAŃSKIE
1	W	Nowy Rok 1907	19	Wonyfatya	Mieczysław
2	Ś	Makarego op.	20	Ihnatyja	Strzeżysław
3	C	Genowefy p.	21	Julyanny m.	Włastymiła
4	P	Tytusa B.	22	Anastazyi m.	Dobromir
5	S	Telesfora	23	10 Mucz. w Kr.	Włastybór
6	N	Trzech Króli	24	N. Jewhenyi	Bojomir
7	P	Walentego ☾	25	Rożd. Chrysta	Świętosław
8	W	Seweryna op.	26	Sobor Pr. Boh.	Mścisław
9	Ś	Marcyanny p.	27	Stefana Mucz.	Władymira
10	C	Pawła pust.	28	2000 Mucz.	Dobrosław
11	P	Higiniusza	29	S. S. Mład.	Krzesimir
12	S	Honoraty p.	30	Anysyi m.	Czesława
13	N	F. 1 po 3 Król	31	N. po Rożd.	Bogomir
14	P	Feliksa z Noli	1	Henwar 1907	Kadogost
15	W	Maura opata	2	Sylwestra	Domosław
16	Ś	Marcelego I. p.	3	Małachyja pr.	Włodzim.
17	C	Antoniego Op.	4	Sobor 70 Ap.	Rościsław
18	P	Pryski p.	5	Fteopemta	Jaropełk
19	S	Ferdynanda	6	Bohoj. Hosp.	Ratymir
20	N	F. 2 po 3 Król.	7	N. I po Boh. Hł. 8	Sebastyan
21	P	Agnieszki p. ☽	8	Hryhorya Pr.	Jarosława
22	W	Wincentego m.	9	Połyjewkta	Witysław
23	S	*Zaślub. N.M.P.*	10	Hryhorya Jep.	Wrocisława
24	C	Tymoteusza	11	Fteodozya	Chwalibóg
25	P	Nawr. ś. Pawła	12	Tatianny M.	Miłosz
26	S	Polikarpa b.	13	Ermyła i Mucz.	Skarbimir
27	N	F. Starozap.	14	N. 2 po Boh. Hł. 1	Przybysław
28	P	Karola Wielk.	15	Pawła Flew.	Radomir
29	W	Franciszka 🌕	16	Petra Weryhy	Zdzisław
30	Ś	Martyny p.	17	Antonya Weł	Dobrogniew
31	C	Piotra Nolaski	18	Aftanazya	Spitogniew

NOTATKI

NOTATKI

LUTY

ma dni 28.

Słońce wstępuje w znak RYBY dnia 21.

Dnie tygodn.	ŚWIĘTA rzymsko-katol.	ŚWIĘTA grecko-katol.	IMIONA SŁOWIAŃSKIE
1 P	Ignacego b	19 Makarya	Żegota
2 S	NPM Gromn.	20 Ewfymija	Miłosława
3 N	F. Mięsop. Br.	21 N. 3 po Boh. Hł. 2	Błażeja
4 P	Weroniki	22 Tymofteja A.	Witosława
5 W	Agaty panny	23 Kłymentya m.	Dobrochna
6 Ś	Doroty pan. ☾	24 Xenyi prep.	Bohdana
7 C	Romualda	25 Hryhorya ap.	Sulisław b.
8 P	Jana z Mal.	26 Ksenofonta	Gniewomir
9 S	Apolonii p.	27 Joana Chryz.	Gorysław
10 N	F. Zapust. Sch.	28 N. 4 po Boh. Hł 3	Tomiła
11 P	Łucyana	29 Ihnatya	Świętochna
12 W	Eulalii p. ◉	30 Trech Św.	Radzyn św.
13 Ś	*Popielec* † Kat.	31 Kyra i Joana	Jordan św
14 C	Walentego b.	1 Fewr. Tryfona	Niemir
15 P	Faustyna m.	2 Strytenje Hosp.	Szczęsław
16 S	Julianny p.	3 Symeona i An.	Milada bł.
17 N	F. 1 Wstęp.	4 N. 5 po Boh. Hł. 4	Świętorad
18 P	Flawiana	5 Ahaftya M.	Wielosława
19 W	Konrada pust.	6 Wukoła	Czcisława
20 Ś	Such. Nic. † ☽	7 Parftenija	Ludomił
21 C	Eleonory	8 Fteodora	Onosława
22 P	Piotra kat. †	9 Nykyfora	Wrocisława
23 S	Romany pan. †	10 Charłampija	Przedzisław
24 N	F. 2 Sucha	11 N. o Myt. i Faryz.	Mojmir
25 P	Anastazyi p.	12 Mełetya	Sławobój
26 W	Wiktora z Ar.	13 Martyniana	Mirosław
27 Ś	Aleksandra b.	14 Kiryła	Wiarosława
28 C	Romana W. ●	15 Onysyma	Chwalibóg

MARZEC

ma dni 31.

Słońce wstępuje w znak BARANA dnia 20.

Dnie tygodn.	ŚWIĘTA rzymsko-katol.	ŚWIĘTA grecko-katol.	IMIONA SŁOWIAŃSKIE
1 P	Albina bisk.	16 Pamfyja m.	Budzisław
2 S	Symplicyusza	17 Fteodora m.	Radosław
3 N	F. 3 Głucha	18 N. o ob'. S Hł. 5	Sławomiła
4 P	Kazimierza	19 Archypa	Kazimierz
5 W	Fryderyka op.	20 Łeona	Pakosław
6 Ś	Kolety panny	22 Tymofteja pr.	Wojsław
7 C	Tomasza ☾	22 SS. Mucz. w	Bogowit
8 P	Jana Bożego	23 Połykarpa	Miłogost
9 S	Franciszki p.	24 Obr. hł s. Joan.	Mścisława
10 N	F. 4 Srodop.	25 N. Miasop. Hł. 7	Bożesław
11 P	Konstantyna	26 Porfyrya	Ludosława
12 W	Grzegorza W.	27 Prokopia	Swatosz
13 Ś	Rozyny i Rud.	28 Wasyłyja	Niecisław
14 C	Matyldy p. 🌕	1 Mart. Ewdokii	Bożenna
15 P	S. Longina	2 Fteodota	Długomir
16 S	Lubina męcz.	3 Ewtropia	Ojcosław
17 N	F. 5 Czarna	4 N. Syrop. Hł 8.	Zbigniew
18 P	Edwarda II. kr.	5 Konona M	Boguchwał
19 W	Józefa oblub.	6. 42 Mucz S.	Bohdan
20 Ś	Joahima i Kl.	7 Wasyła m.	Polemir
21 C	Benedykta op.	8 Fteofyłakta pr.	Lubomira
22 P	7 bol. NMP. ☽	9 S. S. 40 Mucz.	Godysław
23 S	Wiktora m.	10 Kondrata	Zbisław
24 N	F. 6 Kwiet	11 N. I Post. Hł. 1	Lubomira
25 P	Zwiast NPM.	12 Fteofana	Więczysł.
26 W	Emanuela	13 Nykyfora	Swiętobój
27 Ś	Ruperta	14 Wenedykta	Bohdar bł.
28 C	*Wieczerza P.*	15 Ahapia mucz.	Krzesław
29 P	*Wielki Piątek*	16 Sawyna	Czcimisław
30 S	*Wielka Sobota*	17 Ałeksa P.	Szukosław
31 N	F. Wielkanoc	18 N. 2 Post. Hł. 2	Dobromira

NOTATKI

NOTATKI

KWIECIEN

ma dni 30.

Słońce wstępuje w znak BYKA dnia 20.

Dnie tygodn.	ŚWIĘTA rzymsko-katol.	ŚWIĘTA grecko-katol.	IMIONA SŁOWIAŃSKIE
1 P	Poniedz Wielk.	19 Chryzanfta	Zbigniew
2 W	Franc. z Pau	20 Prep. Otec	Sudomir
3 Ś	Ryszarda bis.	21 Jakowa	Włatysław
4 C	Izydora	22 Wasyłya	Mnożysław
5 P	Wincentego ☾	23 Nykona prep.	Bożywój bł.
6 S	Celestyna	24 Zacharya pr	Świętobór
7 N	F 1 po Wielk.	25 N. 3 Post. Bł. P2.	Przesław
8 P	Dyonizego B.	26 Sobor Hawr.	Radosław
9 W	Maryi Egip.	27 Matrony Seł.	Dobrosława
10 Ś	Ezechiela pr.	28 Fławiana Pr.	Gorysław
11 C	Leona w.	29 Marka i Kir.	Jaromir
12 P	Juliusza 🌑	30 Joana	Lubosław
13 S	Justyny	31 Ipatya	Drzemysł.
14 N	F. 2 po Wielk.	1 Apr. N. 4 P. Hł. 4	Myślimir
15 P	Ludwiny	2 Tyta	Wacław bł.
16 W	Lamb. i Kal.	3 Nikity	Nosisław
17 Ś	Rudolfa bisk	4 Josyfa	Krasisław
18 C	Apoloniusza	5 Fteodyła m.	Gościsław
19 P	Emmy wdowy	6 Jewtychia	Włodzim.
20 S	Agnieszki ☽	7 Hrehorya Meł.	Czesław m.
21 N	F. 3 po Wielk.	8 N. 5 Post. Hł. 5	Drogomił
22 P	Satera i Kaj.	9 Jewpsychia	Strzeżymir
23 W	Wojciecha	10 Terentya	Wojciech ś.
24 Ś	Jerzego męcz.	11 Antypy mucz.	Jerzy św.
25 C	Marka Ew.	12 Wasyłyja prep	Jarosław
26 P	Kleta i M.	13 Artemona m.	Spitymir
27 S	Peregryna w.	14 Martyna	Bogufał
28 N	F. 4 po Wielk. 🌕	15 N. 6 Post. Hł. 6.	Żywisław
29 P	Piotra M.	16 Ahapii M.	Sogosławt
30 W	Katarzyny S.	17 Symeona	Chwalisława

M A J

ma dni 31.

Słońce wstępuje w znak BLIŹNIĄT dnia 20.

Dnie tygodn.	ŚWIĘTA rzymsko-katol.	ŚWIĘTA grecko-katol.	IMIONA SŁOWIAŃSKIE
1 Ś	Fil. i Jak.	18 Joanna prep.	Lubomir
2 C	Zygmunta kr.	19 Czetwer weł.	Witymir
3 P	*Znal. św.* †	20 Piatok wełyki	Swiętosław
4 S	Floryana m. ☾	21 Subota weł.	Wieńczysł.
5 N	F. 5 po Wielk.	22 Woskr Hosp.	Chocisław
6 P	Jau.ı w O. } *Dn. krz.*	23 Pcned. Woskr.	Gościwi bł.
7 W	Domic p. } *Dn. krz.*	24 Wtorok Woskr.	Ludomiła
8 Ś	Stanisł. B. } *Dn. krz.*	25 Marka Jew.	Stanisławś.
9 C	Wniebowstąp P	26 Wasyłyja	Bożerad bł.
10 P	Izydora oracz.	27 Symeona ep.	Cierpimir
11 S	Beatryksy p.	28 Jasona ap.	Ludowit
12 N	F. 6 po Wielk.	29 N. I po Woskr	Wszemił
13 P	Serwacego	30 Jakowa Ap.	Cichosław
14 W	Bonifacego	1 Maja. Jermyi	Dobiesław
15 Ś	Zofii M. i 3 c.	2 Aftanazya m.	Strzeżysł.
16 C	Jana Nepom.	3 Tymofteja	Wieńczysł.
17 P	Paschalisa	4 Pełahyi m.	Sławomir
18 S	Feliksa sp. †	5 Iryny mucz.	Wszesław
19 N	F. Zielone św.	6 N. 2 po Woskr	Krzesomyśl
20 P	Pon. Ziel św.	7 Znam. cz. Kr.	Bronimir
21 W	Heleny k.	8 Joana Boh.	Przesława
22 Ś	Such. Julii p. †	9 Jsaji pror.	Wisława bł.
23 C	Dezyderyusza	10 Symeona Ap.	Budziwoj
24 P	Joanny wd. †	11 Mokya mucz.	Tomira
25 S	Grzego za †	12 Jepyfanta	Borysława
26 N	F. I po św. Tr.	13 N. 3 po Woskr	Więcymił
27 P	Jana pap.	14 Izydora m.	Rusław
28 W	Wilhelma	15 Pachomyja w.	Jaromir
29 Ś	Maksyma wyz.	16 Fteodora	Bogusława
30 C	Boże Ciało	17 Andronika	Sulimir
31 P	Petroneli p.	18 Fteodota	Bożesława

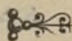
NOTATKI

NOTATKI





CZERWIEC



ma dni 30.

Słońce wstępuje w znak RAKA dnia 21.

Dnie tygodn.		ŚWIĘTA rzymsko-katol.	ŚWIĘTA grecko-katol.	IMIONA SŁOWIAŃSKIE
1	S	Nikodema m.	19 Patrykia	Świętopełk
2	N	F. 2 po święt.	20 N. 4 Sam. Hł. 4.	Ratysław
3	P	Klotyldy ☾	21 Konstantyna	Branmiła
4	W	Kwiryna	22 Wasyłyska	Litomił
5	Ś	Bonifacego	23 Mychaiła	Dobromir
6	C	Norberta B.	24 Symeona pr.	Cichomir
7	P	*Urocz. Serca J.*	25 Obr. hł. ś. J.	Wisław bł.
8	S	Medarda b.	26 Karpa ap.	Wyszosław
9	N	F. 3 po Św.	27 N. 5 Slip. Hł. 5	Sławój
10	P	Małgorzaty	28 Nykity	Bogumił
11	W	Barnaby ap	29 Fteodozyi	Radomił
12	Ś	Onufrego wyz.	30 Izakyja	Wyszomir
13	C	Antoniego z P.	31 Wozn. Hosp.	Chotymir
14	P	Bazylego	1 Junyi Justyna	Przedzimir
15	S	Wita i Modest.	2 Nykifora m.	Witołd
16	N	F. 4 po Św	3 N. S. S. Otc.	Budzimir
17	P	Adolfa B.	4 Mytrofana M.	Drogomysł
18	W	Marka i Marc.	5 Dorofteja	Długosław
19	Ś	Gerw. i Prot. ☽	6 Wysaryona	Borzysław
20	C	Sylweryusza	7 Fteodota św.	Bogna św.
21	P	Alojzego Gonz.	8 Fteodora Str.	Domysław
22	S	Paulina B.	9 Kyryła arch.	Proniwój
23	N	F. 5 po Św.	10 Sosz. św. Ducha	Wanda
24	P	Jana Chrzcic.	11 Poned. Sosz	Janisław
25	W	Prospera b.	12 Onufrya prep.	Władtymił
26	Ś	Jana i Paw. m.	13 Akiłyny	Rozmysław
27	C	Władysława	14 Jełysija prep.	Właatysław
28	P	Leona II. P. †	15 Amosa prep.	Zbroisław
29	S	Piotra i Pawła	16 Tychona	Wyszomir
30	N	F. 6 po Sw.	17 N. 1 W. S. S.	Cichosław

LIPIEC

ma dni 31.

Słońce wstępuje w znak LWA dnia 23.

Dnie tygodn.	ŚWIĘTA rzymsko-katol.	ŚWIĘTA grecko-katol.	IMIONA SŁOWIAŃSKIE
1 P	Teobalda Op.	18 Leontya	Bogusław
2 W	*Nawiedz. NPM*	19 Judy apost.	Ojcomił
3 Ś	Heliodora	20 Meftodya	Miłosław
4 C	Józefa Kalas	21 Julyana m.	Welisław
5 P	Filom. p.	22 Jewsewya	Prokop
6 S	Izajasza Pr.	23 Ahrypiny	Izasław
7 N	F. 7 po Św.	24 N. 2 Tiło Chr.	Krasnoroda
8 P	Elżbiety Kr.	25 Fewronyi	Chwalimir
9 W	Cyryla bisk.	26 Dawyda Ftes.	Strachota
10 Ś	Amalii p.	27 Samsona	Radziwój
11 C	Pelagii m.	28 Kyra i Joan †	Olga św.
12 P	Henryka	29 Petra i Pawła	Tolimir bł.
13 S	Małgorzaty P.	30 Sob. śś. 12 Ap.	Radomiła
14 N	F. 8 po Św.	1 Julyi N. 3 po S.	Dobrogost
15 P	Rozesł. Apost.	2 Położ Ryzy B.	Radosław
16 W	*NPM. Szkapl.*	3 Jakynfta	Dzierzysł.
17 Ś	Aleksego	4 Andreja	Dzierzykraj
18 C	Szymona ☽	5 Aftanazya	Unisław
19 P	Wincentego	6 Syzona Weł.	Wodzisław
20 S	Czesława i K.	7 Ftomy prep.	Stosław i D.
21 N	F. 9 po Św.	8 N. 4 po S. Hł. 3	Bolesława
22 P	Maryi Magd.	9 Pankratya	Zelisław
23 W	Apolinarego	10 SS. 45 mucz.	Lubomira
24 Ś	Włodz. i Krys.	11 Jewtymyja	Sławosz
25 C	Jakóba Ap.	12 Prokła	Mirosława
26 P	Anny m. NMP.	13 Sobor. ś. Haw.	Wszebor
27 S	Natalii panny	14 Akyły Ap.	Czesław
28 N	F. 10 po Sw.	15 N. 5 po S. Hł. 4	Świętomir
29 P	Marty P.	16 Afynohema	Cierpisław.
30 W	Abdona i Sen.	17 Martyny m.	Zdobysław
31 Ś	Ignacego Loj.	18 Jemyłyana	Ludomir

NOTATKI

NOTATKI

10
3 50
2/ 70
10-20
2 40
13-80
2/ 40
16-20

R x 60.

SIERPIEŃ

ma dni 31.

Słońce wstępuje w znak PANNY dnia 23.

Dnie tygodn.		ŚWIĘTA rzymsko-katol.	ŚWIĘTA grecko-katol.	IMIONA SŁOWIAŃSKIE
1	C	Piotra w Ok. ☾	19 Makryny	Bolisław
2	P	*NPM. Anielsk.*	20 Iłyi pror.	Świętosł.
3	S	Znal ś. Szcze.	21 Symeona pr.	Letosław
4	N	F. 11 po Sw	22 N. 6 po S Hł. 5	Ostromir b.
5	P	*NMP. Śnieżnej*	23 Trofyma	Stanisł. ś.
6	W	*Przem. Pańskie*	24 Chrystyny	Chlebosław
7	Ś	Kajetana w.	25 Uspenje ś. A.	Oleh św.
8	C	Cyryaka wyz.	26 Jermołaja	Niezamyśl
9	P	Romana i S. ●	27 Pantałejmona	Borys i Chl.
10	S	Wawrzyńca m.	28 Prohora i Nik.	Wawrzyn.
11	N	F. 12 po Sw	29 N. 7 po S. Hł. 6	Włodzimira
12	P	Klary P.	30 Syły Ap	Sława bł.
13	W	Hipolita m.	31 Jewdokima	Rosław
14	Ś	Euzebiusza	1 **Awh.** Prois.śKr.	Dobrowój
15	C	Wnieb. NPM	2 Stefana m.	Jacław św.
16	P	Rocha wyz. ☽	3 Izaakija	Domorad
17	S	Liberata op.	4 7 Otrok w E.	Miron św.
18	N	F. 13 po Sw	5 N. 8 po S. Hł. 7	Bronisława
19	P	Benigny	6 Preobr. Hosp.	Bolesław
20	W	Stefana kr.	7 Dometya	Sobiesław
21	Ś	Joanny Frem.	8 Jemyłyany	Kazimira
22	C	Filiberta opat.	9 Mafteja ap.	Radomił
23	P	Filipa bisk. ●	10 Ławrentya m.	Cichomił
24	S	Bartłomieja	11 Jewpła	Cieszymir
25	N	F. 14 po Sw	12 N. 9 po S. Hł. 8	Namysław
26	P	Zefiryny	13 Maksyma	Włastymiła
27	W	Prz. ś. Kaz.	14 Mycheja	Przedzisł.
28	Ś	Augustyna b.	15 Uspenje Bohor	Wyszomir
29	C	Ścięcie ś. J. Ch.	16 Nerukoł. Obr.	Racibor bł.
30	P	Róży z L. ☾	17 Myrona m.	Szczęsny ś.
31	S	Rajmunda w	18 Flora i Ławra	Świętosław

WRZESIEŃ

ma dni 30.

Słońce wstępuje w znak WAGI dnia 21.

Dnie tygodn.	ŚWIĘTA rzymsko-katol.	ŚWIĘTA grecko-katol.	IMIONA SŁOWIAŃSKIE
1 N	F. 15 po Sw	19 N. 10 po S. Hł. 1	Dzierzysł.
2 P	Justa B	20 Samuiła	Czcibóg
3 W	Bron. i Izab.	21 Ftadeja	Przesława ś.
4 Ś	Rozalii panny	22 Ahaftonika	Rościsław
5 C	Wawrzyńca b.	23 Łuppa mucz.	Wodzisław
6 P	Zacharjasza	24 Ewtychia	Drogowit
7 S	Reginy p.	25 Warftłomeja	Domosława
8 N	Narodz. NPM.	26 N. 11 po S. Hł. 2	Radosława
9 P	Gorgoniusza	27 Tymona	Sobiebór
10 W	Mikołaja z T.	28 Mojseja	Władybój
11 Ś	Jacka i Prota	29 Usik. hł. Joana	Iścisław
12 C	Gwidona w.	30 Ałeksandra	Radzimir
13 P	Tobiasza	31 Poł. Poj. P. B.	Chronisław
14 S	*Podwyższ. ś.* †	1 Sept. Symeona	Ziemomysł
15 N	F. 17 po Sw.	2 N. 12 po S. Hł. 3	Budzimił
16 P	Ludmili M.	3 Anftyma	Sędzisław
17 W	Lamberta b.	4 Wawyły	Drogosław
18 Ś	*Such.* Tom. †	5 Zacharya	Dobrowit
19 C	Januaryusza	6 Wosp.cz.Mych.	Krzepimir
20 P	Eustachyus. †	7 Sozanta	Myślisław
21 S	Mat. ap. †	8 Rożd. Bohor.	Bożydar
22 N	F. 18 po Sw.	9 N. 13 po S. Hł. 4	Zelimir
23 P	Tekli P. M.	10 Mynodory M.	Bogusława
24 W	Gerarda bisk.	11 Fteodory	Homir
25 Ś	Kleofasa m.	12 Afremona	Świętopełk
26 C	Cypryana	13 Kornyła Sot.	Ładysław b.
27 P	Kosmy i Dam.	14 Wozn. cz. Kres	Damian
28 S	Wacława k.	15 Nykyty m.	Wacław św.
29 N	F. 19. Mich. arch.	16 N. 14 po S. Hł. 5	Dadzibóg
30 P	Hieronima w.	17 Sofyi M.	Imisław

NOTATKI

NOTATKI

PAŹDZIERNIK

ma dni 31.

Słońce wstępuje w znak NIEDŹWIADKA dnia 21.

Dnie tygodn.	ŚWIĘTA rzymsko-katol.	ŚWIĘTA grecko-katol.	IMIONA SŁOWIAŃSKIE
1 W	Remigiusza	18 Ewmenya pr.	Znatysław
2 S	Leodegara	19 Trofyma m.	Stanimir
3 C	Kandyda m.	20 Eustafia	Sieman
4 P	Franciszk Ser.	21 Kodrata	Bratysław
5 S	Placyda m	22 Foky mucz.	Zasław
6 N	F. 20 po Św. N. P. M.	23 N. 15 po S. Hł. 6	Bronisław
7 P	Justyny P ☺	24 Ftekły	Rosława
8 W	Brygidy wd.	25 Jewrosyi	Wojsława
9 S	Wincentego	26 Joana B.	Dogomost
10 C	Franc. Borgia	27 Kałystrata	Tomił
11 P	Placydy męcz.	28 Charytona	Dobromiła
12 S	Maksymiliana	29 Kyriaka	Grzmisław
13 N	F. 21 po Św.	30 N. 16 po S. Hł. 7	Ziemisław
14 P	Kaliksta P. ☽	1 Okt. Pokr. P. B	Dzierżymir
15 W	Jadw. i Ter.	2 Kypryana	Długosława
16 S	Gawła apost.	3 Dyonysia	Radzisław
17 C	Lucyny	4 Jerofteja	Zastysława
18 P	Łukasza ew.	5 Charytyny m.	Bratumił
19 S	Piotra z Alk.	6 Ftomy apost.	Ziemowit
20 N	F. 22 po Św.	7 N. 17 po S. Hł. 8	Budzisława
21 P	Ursz. P. M. ☾	8 Pełahii	Daromiła
22 W	Korduli pan.	9 Jakowa ap.	Przebysław.
23 S	Jana Kapistr.	10 Jewłampia	Włastymir
24 C	Rafała arch.	11 Fyłypa ap.	Siemisław
25 P	Jana Kantego	12 Prowa m.	Samomysł
26 S	Ewarysta pap.	13 Karpa mucz.	Lutosław
27 N	F. 23 po Św.	14 N. 18 po S. Hł. 1	Witomił
28 P	Szym. i Judy	15 Jewtymya	Władybóg
29 W	Narcyza b. ☺	16 Łonhyna m.	Damelit
30 S	Klaudjusza	17 Osyi pror.	Przemysł.
31 C	Wolfganga †	18 Łuki apost.	Godzimir

LISTOPAD

ma dni 30.

Słońce wstępuje w znak STRZELCA dnia 20.

Dnie tygodn.	ŚWIĘTA rzymsko-katol.	ŚWIĘTA grecko-katol.	IMIONA SŁOWIAŃSKIE
1 P	Wsz. Święt.	19 Joiła pr.	Warcisław
2 S	*Dzień zadusz.*	20 Artemija	Witymir
3 N	F. 24 po Św.	21 N. 19 po S. Hł 2	Chwalisł.
4 P	Karola Bor.	22 Awerkyja	Mściwój
5 W	Elżbiety M.	23 Jakowa	Sławomir
6 Ś	Leonarda w	24 Arefty	Wszewład
7 C	Herkulana	25 Markyana	Żytomir
8 P	4 Koronatów	26 Dymetrya	Sędziwój
9 S	Teodora M.	27 Nestora mucz.	Bogodar
10 N	F. 25 po Św.	28 N. 20 po S. Hł. 3	Ludomir
11 P	Marcina B	29 Astanazyi	Spitosław
12 W	Marcina p.	30 Zynowija m.	Nowosław
13 Ś	Eugeniusza	31 Stachyja ap.	Wszerad
14 C	Serafina wyz.	1 Noj. Kos. i Da.	Wodzimir
15 P	Leopolda wyz.	2 Akindyna	Przybysł.
16 S	Otmara op.	3 Akepsyny	Radomir
17 N	F. 26 po Św	4 N. 21 po S. Hł. 4	Zbisław
18 P	Ottona Op.	5 Hałaktyona	Stanisł. K.
19 W	Elżbiety król.	6 Pawła Arch.	Drogomira
20 Ś	Feliksa de W.	7 Jerona	Sędzimir
21 C	*Ofiarow NPM.*	8 Sob ś. Mychaiła	Sław
22 P	Cecylii panny	9 Onysifora m.	Wszemiła
23 S	Klemensa pap.	10 Erasta ap.	Miływój
24 N	F. 27 po Św	11 N 22 po S. Hł. 5	Dorosław
25 P	Katarzyny P.	12 Joanna Mył.	Chwalimir
26 W	Konrada m	13 Joanna Złot.	Lechosław
27 Ś	Waler. i Wirgil.	14 Fyłyppa ap.	Tomir
28 C	Krescentego	15 Hurya i Sams.	Gościsław
29 P	Saturnina m.	16 Mafteja ap.	Przemyśl
30 S	Andrzeja ap.	17 Hryhorya N.	Ludosław

NOTATKI

NOTATKI

GRUDZIEN

ma dni 31.

Słońce wstępuje w znak KOZIOROŻCA dnia 20.

Dnie tygodn.		ŚWIĘTA rzymsko-katol.	ŚWIĘTA grecko-katol.		IMIONA SŁOWIAŃSKIE
1	N	F. 1 Adwent.	18	N 23 po S. Hł. 6	Samosława
2	P	Bibianny	19	Awdyja	Szulisław
3	W	Franciszka	20	Hryhorya	Wislimir
4	Ś	Barbary pan.	21	Wowed. Boho-.	Lubomiła
5	C	Sabby op	22	Fyłymona	Spitosława
6	P	Mikołaja bis.	23	Amfyłokia	Jarogniew
7	S	Ambrożego †	24	Ekateryny	Ludomyśl
8	N	F. 2 Ad. Nie. P. M.	25	N. 24 po S. Hł. 7	Boguwola
9	P	Leokadyi	26	Ałypija	Weszława
10	W	*NPM. Loret*	27	Jakowa m.	Radzisława
11	Ś	Damazego p.	28	Stefana mucz.	Wojmir
12	C	Aleksandra ☽	29	Paramona	Wolidar
13	P	Łucyi i Otylii	30	Andreja ap.	Władysław
14	S	Nikazego	1	Dekem. Nauma	Sławiflor
15	N	F. 3 Adwent.	2	N. 25 po S. Hł. 8	Wolimir
16	P	Adelaidy P. M.	3	Sofonia Pr.	Zdosława
17	W	Łazarza bisk	4	Warwary m.	Żyrosław
18	Ś	*Such.* Grac. †	5	Sawwy ośw.	Wszemił
19	C	Nemezyusza	6	Nykołaja Ap.	Mścigniew
20	P	Teofila m. †	7	Amwrozya	Bogumiła
21	S	Tomasza Ap. †	8	Patapia	Tomisław
22	N	G. 4 Adwent.	9	N. 26 po S. Z. P. B.	Drogomir
23	P	Wiktoryi pan.	10	Myny Ermob.	Sławomira
24	W	Ad. i Ew. Wig. †	11	Danyiła	Godysława
25	Ś	Narodz. Chr. P.	2	Spirydyona	Grzmisława
26	C	Szczepana m.	13	Ewstrachia	Wróciwój
27	P	Jana Ew.	14	Ftyrsa m.	Radomyśl
28	S	Młodzianków ☾	15	Ełewterya	Godzisław
29	N	F. po B. N.	16	N. 27 po S. Hł. 2	Gosław bł.
30	P	Dawida Kr.	17	Sewastyana	Ludomił.
31	W	Sylwestra p.	18	Wonyfatya	Lassota

Kalendarz żydowski.

16-go Stycznia 1907	1-go Schabat 5667.
15 „ Lutego	1 „ Adar.
27 „ „	13 „ „ Post Estery.
28 „ „	14 „ „ Purim.
1 „ Marca	15 „ „ Szusan Purim.
16 „ „	1 „ Nisan.
30 „ „	15 „ „ **Początek Wielkanocy**
31 „ „	16 „ „ **Drugie św. Wielkanocy**
5 „ Kwietnia	21 „ „ **Siódme św. Wielkanocy**
6 „ „	22 „ „ **Koniec Wielkanocy**
15 „ „	1 „ Ijar.
2 „ Maja	18 „ „ Szkolne święto (Lag-Beomer)
14 „ „	1 „ Siwan
19 „ „	6 „ „ **Zielone święta**
20 „ „	7 „ „ **Drugi dzień Ziel. św.**
13 „ Czerwca	1 „ Tamuz.
30 „ „	18 „ „ Post Zdobycie świątyni.
12 „ Lipca	1 „ Ab.
21 „ „	10 „ Ab. Post Spalenie świątyni.
11 „ Sierpnia	1 „ Elul.
9 „ Września	1 „ Tiszri. **Nowy Rok 5668.**
10 „ „	2 „ „ **Drugie św. Nowego Roku**
11 „ „	3 „ „ Post Gedalija.
18 „ „	10 „ „ **Święto pojednania**
23 „ „	15 „ „ **Pierwsze św. Kuczek**
24 „ „	16 „ „ **Drugie św. Kuczek**
29 „ „	21 „ „ Palmowe święto.
30 „ „	22 „ „ **Zgrom. cz. konniec Kuczek**
1 „ Października	23 „ „ **Radość z prawa**
9 „ „	1 „ Marcheswan.
7 „ Listopada	1 „ Kislew.
1 „ Grudnia	25 „ „ Poświęcenie świątyni Chan.
6 „ „	1 „ Tebet.
15 „ „	10 „ „ Post Oblężenie Jerozolimy.

Należytości stemplowe.

Skala I.

na weksle

powyżej Kor.	do Kor.	należytość Kor.
	150	—·10
150	300	—·20
300	600	— 40
600	900	—·60
900	1.200	—·80
1.200	1·500	1·00
1.500	1.800	1·20
1.800	2 100	1 40
2.100	2 400	1·60
2.400	2.700	1·80
2.700	3.000	2·—
3.000	6.000	4·—
6.000	9.000	6·—
9.000	12.000	8·—
12.000	15.000	10·—
15.000	18.000	12·—
18.000	21.000	14·—
21.000	24.000	16·—
24 000	27.000	18·—

Od każdych dalszych 3000Koron, opłaca się o 2 Kor. więcej przyczem resztę nie wynoszącą 3.000 Koron, za pełne 3000 Kor. liczyć należy.

Skala II.

na dokumenta które ani pod I. ani pod III. skalę nie należą.

powyżej Kor.	do K	nal. K.h.
	40	—·14
40	80	—·26
80	120	—·38
120	200	—·64
200	400	1·26
400	600	1·88
600	800	2·50
800	1.600	5·—
1.600	2 400	7 50
2.400	3.200	10 —
3.200	4.000	12·50
4.000	4 800	15·—
4.800	6 400	20·—
6.400	8.000	25·—
8.000	9 600	30 —
9.600	11.200	35·—
11 200	12.800	40 —
12.800	14 400	45 —
14.400	16.000	50·—

Od każdych dalszych 800 koron, opłaca się o 2 K. 50h. więcej, przyczem resztę, nie wynoszącą 800 K. za pełne 800 Kor. uważać należy.

Skala III.

na dokumenta prawne

powyżej Kor.	do K.	nal. K.h.
	2	— 14
20	40	—·26
40	60	—·38
60	100	—·64
100	200	1 26
200	300	1 88
300	400	2·50
400	800	5 —
800	1.200	7·50
1·200	1.600	10·—
1·600	2.000	12 50
2.000	2.400	15·—
2.400	3.200	20·—
3.200	4.000	25·—
4.000	4.800	30 —
4 800	5.600	35·—
5.600	6 400	40·—
6.400	7.200	45·—
7.200	8.000	50·—

Od każdych dalszych 400 koron opłaca się o 2 K. 50h więcej, przyczem resztę, nie wynoszącą 400 K. za pełne 400 kor. uważać należy.

Taryfa fiakrów i dorożek:

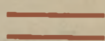
	Fiakier dwukonny		Dorożka 2-konna		Dorożka 1-konna	
Za jazdę z lekkim pakunkiem:	K.	h.	K.	h.	K.	h.
z miasta do dworca głównego lub odwrotnie w dzień	2	20	1	40	1	—
w nocy	2	40	1	60	1	20
Z miasta do dworca Podzamcze lub odwrotnie w dzień	1	80	1	—		80
w nocy	2	—	1	20		90
Za większy pakunek umieszczony na siodle dopłaca się . . .		40		40		40
Za jazdę pojedynczą bez zatrzymania się i powrotu, w dzień	1	—		60		50
w nocy	1	40		70		60
Jazdy za wynagrodzeniem czasu:						
za pierwszych 30 minut w dzień	1	40	1	—		80
w nocy	1	80	1	20	1	—
za każde następne 15 m. w dzień		60		40		30
w nocy		70		50		40
Za jazdę spacerową za pierwszych 30 minut, w dzień	1	70	1	40	1	—
w nocy	1	90	1	60	1	10
za każde następne 15 m. w dzień		70		50		40
w nocy		80		60		50
Jazdy: na Wysoki Zamek, do ogrodu Kiselki, do Pohulanki, na Zofiowkę, do Żelaznej wody, na Wulkę, do wojskowej pływalni, na Bajki, do cmentarzy i dworca czerniowieckiego w dzień	1	60	1	—		80
w nocy	1	70	1	20	1	—
Do rogatek: Janowskiej, Łyczakowskiej, Stryjskiej, Wuleckiej, Zielonej; do toru wyścigowego, Cetnerówki, Krasuczyna i Snopkowa w dzień	1	80	1	20	1	—
w nocy	2	—	1	40	1	20



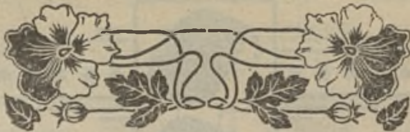
  

NOWOROCZNIK

„BŁAWATKA"

 1907. 



W świat marzeń!

Ponad ciemne i martwe tej ziemi obszary,
w niebo pieśni, w świat marzeń i boskiej ułudy,
w światło, w przestrzeń, w poezji tęczą barwne cudy
w piękność wieczną, pić szczęście z pełnej życia czary!

Jakże często drga w sercu przyspieszone bicie,
jakże często łzą wilgnie bezsenna powieka
i w te światy nadziemskie dusza mi ucieka —
i myśl się rwie do góry, by tonąć w błękicie!

Młode orlę do słońca by chciało, — w obłoki!
Nie tu w dole mu pełzać, chociaż tu zrodzone;
jemu domem gwiazd szlaki i przestwór szeroki;

burze, gromy — to żywioł, co mu ducha stali!
Czuje siłę, choć młode, choć dotąd więzione, —
ale skrzydła wyrosną i myśl się skrzysztali...
a wtedy...

Jerzy Żuławski.



Wychowanie panien.

Francuzka literatura pedagogiczna wzbogacona została poważnem i zajmującem dziełem Henryka Moriona, traktującem o wychowaniu i kształceniu dziewcząt opartem, jak autor powiada, na studyach psychologicznych kobiety *etudes psychologiques de femme.*

Bez żadnej stronności i krańcowości, Morion przyznaje, że kwestya wychowania i kształcenia dziewcząt, przyszłych matek, wychowawczyń i społecznych działaczek, wysuwa się, wśród najżywotniejszych zagadnień obecnej doby, na plan pierwszy. Upadają jedne po drugim, zapleśniałe zabytki barbarzyńskiej przeszłości, a w ich liczbie oddawna już poszedł

w zagładę okrutny przesąd, skazujący kobietę na krzywdzące godność jej, duchowe niemowlęctwo i niczem nie uzasadnioną zależność. U biesiadnego stołu dzisiejszej cywilizacyi zasiada kobieta obok mężczyzny i upomina się o przyrodzone swe prawa, świadoma wielkich i doniosłych obowiązków, jakie prawa owe na nią nakładają.

Prawo i obowiązek! Dwa te pojęcia idą ręka w rękę, skute z sobą, niby dusza z ciałem.

Nie należy, oczywiście, przyznawać praw samodzielności istotom, nie pojmującym poważnej strony życia i niezdolnym godnie wywiązać się z powierzonych im obowiązków, z chwilą więc, gdy żądamy rozszerzenia praw kobiety, musimy myśleć o tem, żeby od lat bardzo wczesnych wpajać w nią głębokie poszanowanie obowiązku, wychowywać ją, kształcić w ten sposób, żeby urobić z niej pracowitego. i pożytecznego członka społeczeństwa.

— „Pracujcie w pocie czoła“ — powiedział Bóg, czyli najwyższe prawo, nie tylko Adamowi lecz i Ewie nakreślił, co znaczy: pracujcie, każde w miarę sił i uzdolnień swoich. Jeśli zatem, nawet

Adam i Ewa, to jest mężczyzna i kobieta, każde z osobna, ma odrębne cywilizacyjne posłannictwo do spełnienia to w każdym razie dążą do jednego celu i jako ojciec i matka przedstawiają ludzkość w sobie.

Brutalne prawo pięści przechyliło w przeszłości szalę władzy na stronę mężczyzny. Kobieta została niewolnicą, odartą z praw, nieświadomą życia i postępu, zaryglowaną w ciasnych ramach domowego ogniska, jak w klasztorze, w takich więc warunkach musiała zapaść w duchowy letarg, w którym z konieczności stępiały czasowo jej umysłowe władze.

Ludzkość błąd społecznego ustroju bierze za prawo natury i głosi o niższem rzekomo duchowem uzdolnieniu kobiety. O kwestyę owej różnicy w uzdolnieniu toczyły się też nieskończone, akademickie spory.

Sprawiedliwość, jeden z najwspanialszych wyników cywilizacyi, rozstrzygnęła wreszcie wiekowe zagadnienie ku zupełnemu zadowoleniu kobiety. Na wielkiej arenie pracy, zarówno czysto duchowej, jak i fachowej, dowiodła kobieta pod względem umysłowego uzdolnienia, równo-

ści z mężczyzną, a coraz twardsze warunki życiowe i z każdym rokiem rozszerzane widnokręgi pracy, wyprowadzają coraz liczniejsze zastępy bojowniczek w burzliwej nieraz walce o byt.

Do zadań atoli, które spełnić pragniemy, do boju, który staczać musimy, winniśmy być należycie przysposobieni i uzbrojeni. Kobieta zatem, pragnąca brać czynny udział w społecznem życiu, powinna na równi z mężczyzną być od kolebki odpowiednio do przyszłych swych obowiązków wychowana i kształcona.

Natura nie skrzywdziła bynajmniej kobiety pod względem umysłowym, obdarzyła ją równie hojnie, jak mężczyznę, aczkolwiek skojarzyła w nieco odmiennej formie jej duchowe zdolności i wycisnęła na nich piętno właściwe przeznaczeniu i samej istocie kobiety.

Wychowanie współczesnej kobiety nie ma bynajmniej ani prawa ani potrzeby paczyć indywidualności jej istoty i zmieniać przez naturę wytkniętego kierunku duchowych jej uzdolnień. Winno ono natomiast wyzyskać na jej korzyść wszystkie zasoby, któremi tak szczodrze obdarzył ją Stwórca.

Znakomity francuzki myśliciel i pedagog w listach swoich o wychowaniu panien nader trafnie określa właściwe przeznaczenie kobiety w ogólnym planie życia ludzkości.

Uczony ten stanowczo przyznaje kobiecie większe uduchowienie niż mężczyźnie, wiele mniejszą skłonność do czysto zmysłowych, materyalnych uciech i potężniejszy wzlot ku ideałom i nieskończoności.

Kobieta — mówi, — jest jakby bardziej duszą, niż mężczyzna i na tem głównie polega niesłychana jej potęga Posiada ona niewyczerpaną siłę kochania, którą zlewa na jednostki, na ludzkość, na idee, na Boga. Z tym wrodzonym geniuszem kochania kojarzą się w kobiecie: żywość, wrażliwość i subtelna intuicya, owa najznamienniejsza cecha kobiecego umysłu. Długotrwała jej obojętność dla wielu zagadnień życiowych, była wynikiem niewłaściwego wychowania, brakiem umysłowej w tym kierunku gimnastyki, lecz nie dowodziła bynajmniej duchowego niedołęztwa. W sprawach życiowych, konkretnych, kobieta odznacza się zazwyczaj trafnością i subtelnością sądu, z zastrze-

żeniem atoli aby serce nie przesłaniało prawdy.

Z chwilą, gdy na widownię walki występuje uczucie, kobieta staje się bohaterem; jej odwaga i niezrównana siła oporu są wprost bajeczne, niepokonane. Serce jej wierzy, podsyca w sobie nadzieję, choć możliwość nadziei dawno usunęła się przed nią, — cierpi bez skargi i szemrania, znosi katusze, których ogrom może mierzyć się tylko z ogromem jej bohaterstwa w walce za tych, których ukochała!

Słowem, w harmonijnym zespole życia, kobieta jest tonem równie potężnym i pełnym, jak mężczyzna i posiada w tym samym zupełnie jak on stopniu, swe indywidualne przeznaczenie, jako istoty rozumnej i wolnej. Z połączenia zaś tych dwóch indywidualnych przeznaczeń, wynika rodzina, podstawa społecznego organizmu.

Opierając się na powyższem dowodzeniu. dochodzimy do logicznego wniosku, iż nie należy wychowywać kobiety wyłącznie dla mężczyzny, tak samo, jak nie wychowujemy mężczyzny wyłącznie dla kobiety. Oboje mają równe prawa do sa-

modzielnego istnienia i mają równie poważne obowiązki do spełnienia, należy więc wychowywać je dla nich samych, dla idei, która ich przewyższa, dla rodziny, którą stworzą, dla narodu, którego są organiczną cząstką, — dla ludzkości, którą w sobie noszą, a której przyszłość na nich się opiera.

Podwalinę rozumnego, ku wielkim celom skierowanego wychowania, tak w mężczyźnie, jak w kobiecie, powinno być rozwinięte, w najrozleglejszem tego słowa znaczeniu poczucie moralnej godności człowieka.

W samem zaraniu życia dziewczątka należy rozpoczynać wychowywanie kobiety człowieka.

Celem takiego wychowania jest gorliwe rozwijanie wszystkich zasobów zdolności, otrzymanych od natury, wzmacnianie organizmu i prostowanie, o ile się tylko da, wrodzonych wad i usterek. Słowem, obok bacznej pamięci o stronie fizycznej, rozwijanie duchowej potęgi kobiety.

W ten sposób wychowana kobieta stanąć może na wysokości swego zadania i chlubnie spełnić szczytne swe posłanni-

ctwo współtowarzyszki, współpracowniczki mężczyzny, matki i wychowawczyni, żywej cząstki społecznego organizmu.

Potrafi na każdem stanowisku wierną pozostać wytkniętym ideałom i prowadzić dzieci swe ku szczytom obywatelskich cnót i obowiązków, jeśli zaś szczęście rodzinne nie miałoby zostać jej udziałem, nie opuści rąk zniechęcona, lecz tak samo jak tamta, żona i matka życie zapełni pożyteczną pracą i nie zbraknie jej ani na świętych obowiązkach, ani na wzniosłych celach.

Nie znam, doprawdy, nic bardziej upokarzającego dla godnosci kobiety, niż tak zwane „polowanie na męża", — nic smutniejszego nad wyczekiwanie, często nie zjawiającego się, owego zbawiciela od staropanieństwa; to śmieszne i niezdrowe.

— Nie dziw — mówi dalej głęboki myśliciel francuzki — że duchowo rozwiniętej kobiecie nie może wystarczyć do zupełnego szczęścia ciche domowe ognisko, ciepłe rodzinne gniazdko, istnienie wyłącznie domowi i mężowi poświęcone. Kobieta duchowo dojrzała pragnie i ma prawo czuć, że jest czemś sama w sobie

i sama przez siebie, że potrafi czerpać najwznioślejsze zadowolenie w pracy, nauce czy sztuce, w niesieniu swych usług wedle sił i możności ku ogólnemu, społecznemu dobru.

Zakreślając poważny plan wychowania kobiety, musimy przedewszystkiem zastanowić się, co sprzyja bardziej celowi wychowania panien — zakład wychowawczy — czy dom rodzinny? i co względnie do swoich warunków odpowiada. Ten ostatni, przy najidealniejszym nawet ustroju, wymaga licznych współdziałaczy i niezmiernej systematyczności - arcytrudnej do osiągnięcia.

Henryk Morion stara się jak najsumienniej i najbezstronniej zbadać te i owe warunki — i zastanawia się nad kwestyą wspólnej nauki dziewcząt z chłopcami.

Najdłużej zatrzymuje uwagę czytelnika na moralnem wychowaniu dziewcząt, śledząc bacznie prawidłowy lub moralny rozwój ich naturalnych skłonności, rozbierając szczegółowo całokształt ich duchowego organizmu, badając przytem wzniosłe pierwiastki charakteru, które wychowanie winno rozwijać, utrwalać i doskonalić.

Trudno zaprzeczyć, że niejeden warunek, względnie mniej ważny w wychowaniu chłopców, nabiera pierwszorzędnej doniosłości, gdy chodzi naprzykład o dziewczęta, — naprzykład: towarzystwo, koleżeństwo, rachowanie się z opinią ogółu, i t. p. Opinia, to potęga, która staje się prawdziwą łamigłówką w wychowaniu, a potem w życiu kobiety. Każda kobieta winna z nią się bezwarunkowo liczyć, atoli jako myśląca i wolna ludzka istota nie ma prawa poświęcać jej niezależności swego sumienia.

Kobieta przynosi z sobą na świat potężny pierwiastek idealizmu, jest więc niewątpliwie nader skłonną do szkodliwej egzaltacyi Na znamienną tę cechę należy też baczną zwracać uwagę i dla wrodzonych szlachetnych popędów urabiać podstawy pozytywne i zdrowe; inaczej idealizm zamieni się w źródło chorobliwej przesady.

Spełniać jak najsumienniej przyjęte na siebie obowiązki, to jeszcze nie wszystko. Powinno się je rozumieć, odczuwać i ukochać.

Umieć wzbudzić prawdziwe, głębokie zrozumienie obowiązku, natchnąć młodą

istotę szczerą do niego miłością, należy też do zadań racyonalnego wychowania. Nie obniżamy bynajmniej szczytnych ideałów, jeśli z wyżyn religii i wiedzy sprowadzamy młode dusze na smutny ziemski padół i wtajemniczamy je w najdrobniejsze i najprzykrzejsze szczegóły, tak domowego jak i zawodowego życia. Wychowanie, rozbudzające jedynie pragnienie doskonałości duchowej i niebiańskiej szczęśliwości, a napełniające młodą duszę niechęcią do powszedniego, szarego życia, byłoby nietylko niecałk witem, lecz nawet wadliwem, chybionem.

Minęło panowanie „złotej, powabnej nieświadomości“ Gruntowne, poważne wykształcenie stanowi dziś siłę kobiety i podstawę jej moralności. Cały ustrój kulturalnego życia nie tylko, że broni, lecz wprost gwałtownie d maga się podobnego wykształcenia.

Kobieta ma dziś niezaprzeczalnie równe z mężczyzną prawa do pracy i wyższej wiedzy, albowiem przestała być bierną życia uczestniczką Na świat i ludzi, na dziejowe zjawiska musi nauczyć się spoglądać trzeźwo i jasno, posiadać świadomość swych sądów, uczuć i czynów.

Czyż może ktoś wątpić, że nauka uszlachetnia mężczyznę? Chyba każdy zgodzi się na to, iż jest ona podstawą uczciwej niezależności, źródłem szlachetności i cnoty i niewysłowionych duchowych rozkoszy Dlaczegożby więc to, co jest dobre i konieczne dla jednej połowy rodzaju ludzkiego, miało wpływać ujemnie na drugą?

Myśliciel francuzki powiada dalej „zagłuszane zdolności, niezaspokojone szlachetne pragnienia ducha, to, zaiste, największe nieszczęście i najgroźniejsze niebezpieczeństwo dla ludzkiej istoty. Niema tu najmniejszej różnicy pomiędzy mężczyzną a kobietą. Ciemnota, która, rzecz prosta, nie może umiejętnie wybierać, sprawiedliwie sądzić i utrzymywać w należytych karbach zgubnych popędów, sprowadza kobietę na manowce i stacza ją w otchłań zepsucia. W ciemnocie należy szukać przyczyny wielu smutnych upadków, wielu strasznych dramatów. Bywają chwile, w których nawet pobożność, owa płytka, zdawkowa pobożność, cechująca przeważnie ludzi nieoświeconych, okazuje się nazbyt słabym hamulcem Nauka, wierzajcie mi, jest potężnym sprzymierzeń-

cem religii. Poważna, odżywcza umysłowa praca podnosi ducha, krzepi go, pociesza, uspokaja i rozwesela.

Drugą, niezwykle silną przyczyną do złego jest bezczynność. Najsurowsze zasady nie oprą się rozkładowemu wpływowi pustego, próżniaczego życia. Brak obowiązkowych zajęć i zdrowej duchowej strawy wytworzył smutny typ bezradnej, płytkiej, salonowej lalki, żony i matki, nie mającej żadnego pojęcia o swych świętych obowiązkach; poważne, celowe zajęcia, wprowadzają równowagę do duszy i ład do życia. Pod dobroczynnym wpływem poważnej myśli, niezdrowa egzaltacya znika, wszystkie władze duchowe rozwijają się harmonijnie. Nie skąpmy więc światła kobiecie jeśli pragniemy, by godnie odpowiedziała swemu posłannictwu."

Wyższe, gruntowne o ile można wszechstronne i praktyczne wykształcenie kobiety, jest więc bezsprzecznie jednem z najgłówniejszych zadań współczesnej kultury.

Z dzieła Henryka Moriona widzimy, iż ruch kobiecy we Francyi poważne popierają głosy, — że zdrowa, uczciwa, ro-

zumna działalność kobieca z dumą wypisać może na swym sztandarze: „zwycięstwo na całej linii!“

Zofia Seidlerowa.





RANEK W GÓRACH

Wyzłocone słońcem szczyty
Już różowo w górze płoną,
I pogodnie lśnią błękity
Nad pogiętych skał koroną.

W dole — lasy skryte w cieniu
Toną jeszcze w mgle perłowej,
Co w porannem oświetleniu
Mknie się zwolna przez parowy.

Lecz już wietrzyk mgłę rozpędza,
I ta rwie się w chmurach stada...
Jak pajęcza, wiotka przędza,
Na krawędziach skał osiada;

A z pod sinej tej zasłony
Świat przegląda coraz szerzej,
Z nocnych, cichych snów zbudzony,
Taki jasny, wonny, świeży.

Wszystko srebrzy się dokoła
Pod perlistą, bujną rosą,
Świerki, trawy, mchy i zioła
Balsamiczny zapach niosą;

A blask spływa wciąż gorętszy,
Coraz głębiej oko tonie,
Cudowności świat się piętrzy
W wyzłoconej swej koronie.

Góry wyszły jak z kąpieli
I swem łonem świecą czystem,
W granitowej świecą bieli,
W tem powietrzu przeźroczystem,

Każdy zakręt, każdy załom,
Wyskakuje żywy, dumny:
Słońce dało życie skałom
Rzeźbiąc światłem ich kolumny.

Wszystko skrzy się, wszystko mieni,
Wszystko w oczach przeistacza —
Gra przelotnych barw i cieni
Coraz szerszy krąg zatacza.

Już zdrój srebrną pianą bryzga,
Gdy po ostrych głazach warczy...
Już się żywszy odblask ślizga
Po jeziorek sinej tarczy...

Już pokraśniał rąbek lasu...
Już się wdzięczy i uśmiecha
Brzeg doliny — a z szałasu
Dolatują śpiewne echa...

Przez zielone łąk kobierce
Dzwoniąc, idą paść się trzody...
Jakaś rozkosz spływa w serce,
Powiew szczęścia i swobody,

Pierś się wznosi, pierś się wzdyma,
I powietrze chciwie chwyta —
Dusza wybiedz chce oczyma
Upojona, a nie syta;

Niby lecieć chce skrzydlata,
Obudzona, jak z zaklęcia...
I tę całą piękność świata
Chce uchwycić w swe objęcia.

El...y





BĄDŹ BŁOGOSŁAWIONA.

LEGENDA INDYJSKA.

Raz, w jasną noc księżycową, mądry a wielki Krysza zamyślił się głęboko i rzekł:

— Myślałem, że człowiek jest najpiękniejszym tworem na ziemi — i myliłem się. Oto widzę kwiat lotusu, kołysany nocnym powiewem. O ileż on piękniejszy od wszystkich żyjących istot: listki jego otwarły się właśnie na srebrne światło księżyca — i oczu nie mogę od niego oderwać...

— Tak, niema między ludźmi nic podobnego, — powtórzył z westchnieniem.

— Ale po chwili pomyślał:

— Dlaczego bym ja, bóg, nie miał potęgą słowa stworzyć istoty, która by

była tem między ludźmi, czem lotus między kwiatami? Niech więc tak będzie na radość ludziom i ziemi. Lotusie, zmień się w żyjącą dziewicę i stań przedemną.

Zadrżała wnet leciuchno fala, jakby trącona skrzydłem jaskółki, noc rozjaśniła się, księżyc zabłysnął mocniej na niebie, rozśpiewały się głośniej nocne drozdy, a potem nagle umilkły. I czar się spełnił: przed Kryszną stanął lotus w ludzkiej postaci.

Sam bożek zdumiał się.

— Byłaś kwiatem jeziora, — rzekł, — bądź odtąd kwiatem myśli mojej i przemów.

A dziewczyna poczęła szeptać tak cicho, jak szemrzą białe płatki lotusu, całowane letnim powiewem.

— Panie! zmieniłeś mnie w żywą istotę; gdzież mi teraz zamieszkać każesz? Pamiętaj panie, że gdy byłam kwiatem, drżałam i tuliłam listki za każdem tchnieniem wiatru. Bałam się, panie, nawalnych dżdżów i burzy, bałam się gromów i błyskawic, bałam się nawet palących promieni słońca. Tyś mi kazał być wcieleniem lotusu, więc zachowałem dawną naturę i teraz boję się, panie, ziemi i wszyst-

kiego, co się na niej znajduje... Gdzież mi zamieszkać każesz?

Kryszna podniósł mądre oczy ku gwiazdom, przez chwilę myślał, poczem spytał:

— Chcesz żyć na szczytach gór?

— Tam śniegi i zimno, panie: boję się.

— A więc... Zbuduję Ci pałac z kryształu na dnie jeziora.

— W głębinach wód przesuwają się węże i inne potwory: boję się, panie!

— Chcesz stepów bez końca?

— O panie! wichry i burze tratują stepy, na kształt stad dzikich.

— Cóż z tobą uczynić kwiecie wcielony?... Ha! w pieczarach Ellory żyją święci pustelnicy... Czy chcesz zamieszkać zdala od świata w pieczarze?

— Ciemno tam panie: boję się.

Kryszna usiadł na kamieniu i wsparł głowę na ręku. Dziewczyna stała przed nim drząca i przestraszona.

Tymczasem zorza zaczęła rozświecać niebo na wschodzie. Ozłociła się toń jeziora, palmy i bambusy. Chórem ozwały się różowe czaple, błękitne żórawie i białe łabędzie na wodach, pawie i bengali w la-

sach, a do wtóru im rozległy się dźwięki strun nawiązanych na muszlę perłową i słowa ludzkiej pieśni.

Kryszna obudził się z zadumy i rzekł:

— To poeta Walmiki wita wschód słońca.

Po chwili rozsunęły się firanki purpurowych kwiatów, pokrywających lijany i nad jeziorem ukazał się Walmiki.

Ujrzawszy wcielony lotus, przestał grać. Perłowa muszla wysuwała mu się zwolna z dłoni na ziemię, ręce opadły wzdłuż bioder i stanął niemy, jak gdyby wielki Kryszna zmienił go w drzewo nadwodne.

— A bożek ucieszył się z tego podziwu nad własnem dziełem i rzekł:

Zbudź się, Walmiki, i przemów.

I Walmiki przemówił:

— . . . . Kocham!...

To jedno słowo tylko pamiętał i to jedno mógł wypowiedzieć.

Twarz Kryszny rozpromieniła się nagle.

— Cudna dziewczyno, — znalazłem godne ciebie miejsce na świecie: zamieszkaj w sercu poety.

Walmiki zaś powtórzył po raz drugi:

— . . . . Kocham!...

Wola potężnego Kryszny, wola bóstwa poczęła popychać dziewczynę ku sercu poety. Bożek uczynił też serce Walmiki przejrzystem jak kryształ.

Pogodna jak dzień letni, spokojna jak fala Gangesu, wstępowała dziewczyna w przeznaczony dla siebie przybytek. Lecz nagle, gdy głębiej spojrzała w serce Walmiki, twarz jej pobladła i strach owionął ją, niby wiatr zimny. A Kryszna zdziwił się.

— Kwiecie wcielony, — spytał, — czy i serca poety się boisz?

— Panie, — odpowiedziała dziewczyna, — gdzież mi to zamieszkać kazałeś? Otom w tem jednem sercu ujrzała i śnieżne szczyty gór, i głębiny wód, pełne dziwnych istot, i step z wichrami i burzą, i ciemne jaskinie Ellory; więc boję się znowu, o panie!

Lecz dobry a mądry Kryszna rzekł:

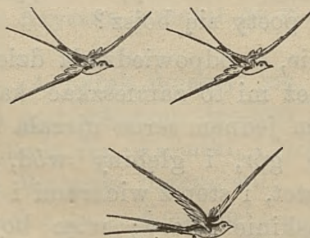
— Uspokój się, kwiecie wcielony. Jeśli w sercu Walmiki leżą samotne śniegi, bądź ciepłem tchnieniem wiosny, które je stopi; jeśli jest głębia wodna, bądź perłą w tej głębi; jeśli jest pustka stepu, posiej w niej kwiaty szczęścia; jeśli są cie-

mne pieczary Ellory, bądź w tych ciemnościach słońca promieniem...

A Walmiki, który przez ten czas odzyskał mowę, dodał:

— I bądź błogosławiona!

Henryk Sienkiewicz.



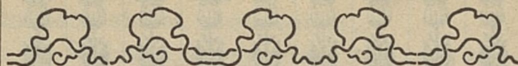


Z SŁOWICZYCH PIEŚNI.

Kocham cię, kwiecie, co w skalnej szczelinie
Zakwitasz dziko,
Zbudzony z pąka powiewem, co płynie
Górską muzyką.
Zerwany, zwiądłbyś w gorącej mej dłoni,
I byłbyś niczem,
Oddawszy ducha w przedśmiertnej woni,
W tchnieniu dziewiczem...
Lecz teraz, gdy cię prócz rosy i słońca
Nikt nie tknął w świecie,
Gdy się otwierasz, jak dusza tęskniąca,
Kocham cię, kwiecie!

Marya Konopnicka.





TĘSKNICA.

Widzisz? Idą dziewczyny w to majowe rano
Z kościoła, w krasnych chustkach, w koralów czerwieni;
Idą, włos się im, płowy jak len, w słońcu mieni'
I cieszą słońce twarzą jasną i rumianą.

Idą długim szeregiem przez miedzę żytnianą:
Wszystko się w koło złoci, świeci i promieni;
Jaskółki zawisają na nieba przestrzeni
I obryzgują piersi białą rzeczną pianą.

Tam, u nas tak w niedzielę w majowy poranek
Idą dziewki z kościoła, z kwiatów wianki plotą,
Ze stokrotek barwistych, z polnych macierzanek—

Zda się, Bóg w jasnem niebie twarz pokaże złotą;
I taka mi się marzy polska okolica
na sercu mi kładzie ciężką dłoń Tęsknica....

Kazimierz Przerwa — Tetmajer.






LEKCYA FLIRTU.

— Proszę siadaj pan tu obok mnie — odezwała się piękna pani Helena do witającego ją średnich lat mężczyzny, któremu podając z uśmiechem rączkę, pozostawiła przez chwilę w jego dłoni.

— Przychodzisz w delegacyi, prawda? — mówiła dalej, zbierając fałdy sukni koło siebie. — Widziałam, przed chwilą rozmawiałeś pan z gospodynią domu i ona to, dostrzegłszy moje osamotnienie, wysłała pana tutaj na straconą placówkę mojej kokieteryi. Co, czy nie tak?

— Wobec domyślności pani trudno się zapierać. Inwitacya rzeczywiście była, chociaż bez skazywania mnie na ofiarę. Dzięki metodzie pani, czuję się już do-

statecznie zahartowanym weteranem i niebezpieczeństwa nie przeczuwam.

— Tak — wyrzekła pani zezłośliwym uśmiechem. — Jednakże radzę panu, bądź ostrożnym, ja jeszcze nie kapituluję. Ale wracajmy do porządku, Więc już dla rozmowy ze mną potrzebujesz pan przymusu? Dziwna rzecz, jak to upodobania panów, owych przedstawicieli stałości ludzkiej tak prędko się zmieniają. Nie dalej, niż tydzień temu, przypominasz sobie, w moim buduarku, na tej maleńkiej amarantowej kozetce, żegnając mnie, zapewniłeś, że godzina rozmowy naszej mignęła, jak jedna chwilka, zdaje mi się, wyraziłeś się, jak błyskawica, czy coś podobnego.... No, a dziś trzeba po prostu brać oburącz pana za ramiona i gwałtem pchać do tej najmilszej kobiety na pogawędkę. Prawda? Miałam przecież ten zaszczyt być taką w łaskawych oczach, a raczej słowach pana.

— I dziś nie zaprzeczam temu, że jesteś pani najmilszą kobietą pod słońcem, tylko...

— Cóż tylko? — przerywa, patrząc mu w oczy — tylko, dodaj pan sobie, że należę do najkapryśniejszych mężczyzn

na świecie i jak sobie coś na wąs namotam...

— Nie, pani. Proszę spojrzeć na moje wąsy, są w porządku tak, jak pani lubi je widzieć, ma się rozumieć nie u mnie... tylko — mówi dalej z pewnem wahaniem chcąc korzystać z łaski pani, trzeba być lepszym meteorologiem serc kobiecych, aniżeli ja jestem, aby przewidzieć, jaka i kiedy panuje tam pogoda.

— Ależ, panie Karolu, moje serce nie potrzebuje żadnych obserwacyi, bo w niem stała zawsze i niczem niewzruszona pogoda panuje.

— Jednakże z pewnemi zboczenia- niami.. — dodaje z uśmiechem pan Karol.

— A naturalnie, gdyż takie zboczenia, a właściwiej może wibracye, uważam za konieczne dla moich przyjaciół, którym jednostajna pogoda mogłaby się przejeść, jak wszystkie słodycze w życiu. Zresztą, wiadomo panu, że do zalet najpiękniejszej pogody należy powiew łagodnego zefirka, który bądź co bądź orzeźwia.

— Powiedz pani: mrozi, to będzie właściwiej. Znając panią od roku, miałem już czas na zbadanie jej metody w postę-

powaniu ze swymi przyjaciółmi. Zasadza się ona na peryodycznem popuszczaniu i ściąganiu cugli ich aspiracyom i przypomina czynność regulowania zegarka przez nastawienie skazówki raz na retardzie. I tak, jeżeli jednego dnia łaska pani posunie komu skazówkę względów ku awansowi, to z pewnością na drugi dzień jakby przestraszona swoją odwagą, cofnie ją na retard. Otóż i ja po ostatniej rozmowie naszej na owej historycznej kozetce czułem się już z góry skazanym na proskrypcyę i nie miałem wyprowadzać pani z tej sytuacyi.

— Wie pan — odezwała się z pewnem zakłopotaniem piękna pani — że spostrzeżeniom jego nie można odmówić pewnej racyi — zapominasz pan tylko, że na owym regulatorze zegarka, którym się niby posługuję, jest jeszcze środkowy punkt między retardem i awansem, na którym najbezpieczniej się zatrzymywać.

— Tak, niby na zerze, łaskawa pani...

— Ach, mój Boże, jak pan lubisz być krańcowym w swoich zapatrywaniach. Zero nie zawsze bywa równowagą, ale czasami bywa i szczytem.

— Więc na cóż w takim razie awans i retard ze strony pani?.. Wszak nie kto inny, tylko pani posuwa wskazówki!

— Żądasz pan za wiele od kobiety, a nie chcesz zrozumieć, że w stosunkach przyjaznych kobiety z mężczyzną, każde wyjście z równowagi prowadzi do niewoli.

— Pani znów za wiele posiada dobroci, że niczyjej nie pragnie niewoli. Prawda?

— W tej chwili myślałam o sobie, lecz chcę być otwartą i wybierając z dwojga złego, wolę już naprzykład widzieć pana w niewoli niż siebie. Wiadomo przecie panu, że jedynem marzeniem słabych istot, jest panowanie, choćby ono miało być chwilowem i pozornem, dlatego nie możesz się dziwić, że my kobiety, jesteśmy tak żądne panowania.

— Przynajmniej dziś jesteś pani szczerą.

— W tej chwili nie zaprzeczam, choć szczerość nasza bardzo jest względną. Ja sama nawet, wtedy, gdy pragnę być szczerą, nieraz o tej szczerości wątpię. To już taka natura nasza.

— Skoro tak i gdy usposobienie pani zdaje się być zbliżonem właśnie do

szczerości, wdzięcznym już będę, jeżeli raczysz mnie objaśnić w kilku kwestyach będących w postępowaniu jej dla mnie zagadką. Pani jesteś jedną z najbardziej uprzywilejowanych istot na świecie.

Pan Bóg dał ci wszystko, co mógł dać kobiecie; piękność, wdzięk, rozum, dowcip, serce najlepsze, mogę więc uważać ją za reprezentantkę płci pięknej i zdanie jej uważać za opinię całego zastępu kobiet.

— Wstęp do interwiewu może za długi i nadto pochlebny — odzywa się z uśmiechem pani Helena. — Ale słucham pana.

— Otóż idzie mi o to, jaki cel mogą mieć zabiegi pani, zmierzające do zawładnięcia sercem tylu naraz przyjaciół, jeżeli własne jej serce nie odczuwa potrzeby uderzenia w takt z niemi? Dla nas najniższych sług jej fantazyi, masz pani gotową zasadę równowagi; tymczasem w postępowaniu jej widać tylko nieustanną oscylacyę. Zanadto cenię dobroć jej serca i rozwagę, abym przypuszczał, że to jest tylko zabawa. Nie posądzam panią o wrodzoną chęć zaborczą, demoniczną rozkosz czynienia źle dla samego

złego, bo to nie leży w naturze kobiety, reprezentantki szczęścia i rozkoszy życia. Więc cóż to jest?... Cóż znaczą te obiecujące półsłówka, słodkie spojrzenia i inne tego rodzaju jakby zachęty, któremi tak hojnie potrafi pani szafować?... Czyż wypada brać je tylko za przynętę, którą rybak z najzimniejszą krwią na haczyk nadziewa?... Wszelkimi sposobami stara się pani zawładnąć sercami mężczyzn, a gdy te serca już czujesz w swojej dłoni, tłuczesz je z przyjemnością dziecka, niszczącego ulubioną zabawkę Najprostsza logika mówi mi, że jeżeli pragnę coś mieć, to na to, żebym miał, — a pani — przeciwnie — na to pragnie. żeby nie mieć.

— Mylisz się pan przerywa pani Helena. My, jako kobiety, przedewszystkiem pragniemy się podobać.

— Dobrze, a jak się już podobacie?

— Pragniemy się jeszcze więcej podobać..

— A jak już i to osiągnięte?

— Chcemy ten stan podobania się wciąż utrzymać.

— Rozumiem, tylko w jakim celu?

— Naprzód dlatego, żeby posiadać. Pan, jako prawnik, powinieneś wiedzieć,

że wszelkie posiadanie sprawia przyjemność, a utrata boleść przynosi. Co do mnie, przyznaję się, że strat nie lubię, choćby dlatego, że dezercya z pod mojej chorągwi drażni moją miłość własną...

— Raczej próżność.

— Niech będzie i próżność, skoro pan tak chce... Panie Karolu, a kto z nas wolny jest od próżności?... Proszę tedy być dla nas bardziej wyrozumiałym. Jednakże, pomimo to wszystko nie zaprzeczysz pan, że i my potrafimy kochać szczerze, z zapomnieniem się zupełnem, z oddaniem duszą i ciałem ukochanemu mężczyźnie

— A pani, czy kochałaś kiedy w ten sposób?...

— Nie — odrzekła po pewnym namyśle.

— Nawet zmarłego męża?

— Nawet. Widzisz pan, jak jestem szczerą, choć na to, jako sędzia śledczy, najmniej zasługujesz. Mój mąż, człowiek w całem znaczeniu tego słowa praktyczny miał wszystkie przymioty dobrego męża, ale mojej duszy nie rozumiał. Żyliśmy ze sobą dobrze, przyzwyczaiłam się do niego, czułam, że mu jestem po-

trzebną do szczęścia i myśl ta zastępywała mi brak innych uczuć. Zarzucasz mi pan teraz bezcelowość mojej kokieteryi, jednak po raz doznanym zawodzie jest ona próbą tonów, których oddźwięk pragnęłabym usłyszeć w drugiem sercu. My, kobiety, trzeba panu wiedzieć, posiadamy szczególniejszy i nadzwyczaj wydelikacony dar słuchu wciąż też potrzebujemy brząkać na strunach serc waszych Czasami zdaje nam się, że dźwięk jest zgodny z naszym strojem i to właśnie sprowadza awans, który mi pan zarzucasz. a który rzeczywiście jest dalszą próbą na szerszą skalę z naciśniętym pedałem. Najczęściej jednak ta, jakby powiedzieć generalna próba, przy większej swobodzie mężczyzn, prowadzi za sobą dysonanse, które nas straszą. Zawracamy tedy na retard i próbujemy dalej, bo jesteśmy wytrwałe w naszych doświadczeniach,

— Czyli z najzimniejszą krwią odbywamy wiwisekcyę na cudzych sercach — przerywa z ironią pan Karol — i to nazywa się zwyczajnym, niewinnym flirtem

— Naturalnie, bo któż wam każe brać próby za samo przedstawienie! Flirt,

mój panie, jest arcypożytecznym wynalazkiem, pozwala bowiem pół seryo, pół żartem zapuszczać sondę do cudzego serca. Rządzi się on handlową dewizą: „Kupić nie kupić, potargować wolno;“ któż winien, że panowie targowanie bierzecie za kupno?

— Znakomicie pani określiła definicyę flirtu i dotychczasowe stosunki nasze postawiła we właściwem świetle. Wdzięczny pani jestem za to, otrzeźwiłaś mię, abym liczmanów flirtu nie brał za inną monetę. Argumentacya pani była świetną i zręczną, nie zaprzeczam, lecz z drugiej strony odkryła jedną ze słabych stron serca kobiety, która panią zasmuci.

— Jakąż? — zapytała z ciekawością.

— Że pomimo wszelkich pozorów młodości, bijącej z całej postaci pani, serce już zestarzało, skoro tak wybornie umie próbować, liczyć, ważyć i mierzyć. Żal mi pani serdecznie i żal mi tej pustki w piersiach, która mi przypomina jabłka, rosnące nad brzegami morza Martwego. A teraz pozwoli pani, że ją opuszczę. Przyrzekłem gospodyni, że przez

godzinę bawić ją będę i sądzę nie odmówisz mi świadectwa, że obowiązek mój spełniłem sumiennie.

— Ja również nie mam sobie nic do wyrzucenia — odrzekła pani. Ułożyłam się z gospodynią, że potrafię wyrwać pana z tej apatyi i zniechęcenia, w którą się od jakiegoś czasu drapujesz i sądzę, wywiązałam się z tego.

— No, jeżeli tak było i oboje tak zręcznie inscenowaną odegraliśmy komedyę, racz pani wszelkie przekonania moje, które tu wygłosiłem uważać za niebyłe.

— A moje za przestrogę, że nie należy kaprysów kobiecych zbyt surowo sądzić i obrażać je podejrzeniem. Mam nadzieję zatem. że zostaniemy nadal dobrymi przyjaciółmi i że znów godziny naszych pogadanek staną się minutami. A kiedy pan raczysz mnie odwiedzić? — zakończyła, oblewając go ciepłem i serdecznem spojrzeniem.

— Skoro tylko poczuję się na awansie..

— Zdaje mi się, że pan już tam jesteś...

Czy na długo?

— To już od niego samego zależy. Co do mnie, to tylko zapewnić mogę, iż podstarzałe moje serce jeszcze nie myśli umierać, a jeżeli jest chore, to gotowam je oddać w kuracyę, nawet tak powierzchownemu jak pan dyagnoście.. Wierz mi pan, nie mam chęci umierać...

Albert Wilczyński.





BARCAROLA.

Noc taka jasna!
Gwiazdami płon e —
Światłem okala
Przejrzyste tonie.

Noc taka jasna!
Jasna i cicha
Zaledwie fala
Szemrze i wzdycha.

Łódka jak ptaszę
Po wodzie z lekka
Wzlatuje z nami,
I w dal ucieka..

A serca nasze
Pełne zachwytów,
Wybiegły łzami
W morze błękitów.

W świateł powodzi
W niebo się wznoszą,
Miłością drżące,
Senne rozkoszą.

Płyń więc o łodzi,
Choćby na wieki,
Przez wody śpiące,
W obszar daleki...

Aż gdzieś w przestrzeni
Zginiem w oddali,
W półcieniach jasnych
Na srebrnej fali.

A roztopieni
W cichym błękicie,
Tylko serc własnych,
Usłyszym bicie.

El...y.



Z DZIENNIKA.

Imieniny pani Heleny... Jedziemy! Serce uderzać przestaje ze szczęścia: zobaczę ją, napatrzę się bogactwu jasno-rudych włosów, ust z lekko pochyloną dolną wargą, oczu tajemniczych, bez blasku, milczących, zamglonych, blado-niebieskich, oczu istot przeżytych, z wystygłemi sercami, jak mawiać zwykli utalentowani a tendencyjni beletryści, według mnie zaś, oczu istot wyższego gatunku, mówiących to tylko, co mówić można, co mówić każe konwenans.

Zresztą... co mnie obchodzą beletryści?... Myślę w tej chwili, gdy zwróci zwolna w moją stronę prześliczną głowę i spojrzy śmiało a zimno. Tęsknię za tobą, spojrzenia bogini!... Tak, nie jest to

blik; to głębia, — to, że się tak wysłowię ocean.

Znam dobrze historyę pani Heleny: wiem, że przed mężem jej, nie mniej szanownym jak dystyngowanym panem Stanisławem był ktoś, kto uczył muzyki i śpiewu, oraz wyśpiewał jej więcej niż powinien był wyśpiewać; wiem, że następnie cały rok przepędziła w Palermo, wiem i coś więcej, — i dlatego właśnie, otwarcie mówiąc, to w niej przedewszystkiem uwielbiam, czem gardzę.. Wyzyskać sytuacyę — jest to filozofia jedyna, jaką rządzimy się zawsze; „n'est ce pas?"

Zaprzężono Bohuna i Figlarkę do ogromnego wasąga, główny furman Ludwik, ów sławny na cały nasz powiat Ludwik, z przysłowiem „tego" i głową w kształcie wazy w garść plunął, lejce ujął i jest „fertyk" pod gankiem.

Fraki, krawaty rautowe, brody „wymierzwione," na lewej stronie każdego czoła po loczku — dżentlemani; mało powiedzieć: dżentlemani, — kwiaty!

Wsuwamy się w futra, wskakujemy, jedziemy. Jest nas czterech tylko, lecz śmiało orzec mogę, w wasągu naszym jedzie inteligencya, jedzie dowcip, jedzie

szyk i, że tak powiem, filozofia naszego powiatu.

Mróz jest duży. W zimnem powietrzu lecą drobniutkie pyłki śniegu, mieszają się z iskrami mrozu, które zdziera z lodówki wiatr straszliwy, dmący nieznośnie, monotonnie, z cichem, ledwo dosłyszalnem, namiętnem drżeniem, co usypia i przeraża. Na nieobjętych okiem obszarach mkną po wierzchu skorupy śnieżnej niby dymy białe, leniwe, przejrzyste, sypkie jak piasek — mkną aż do umęczenia zwroku i przepadają w dali, roztapiając się w ogromie niebieskim.

Drogi po odwilży oślizgły, jak szklanki. Konie idą pod lada górkę — według orzeczenia Ludwika — „pyskami się podpierający;“ z góry zjeżdżają na tylnych nogach, przedniemi, niby w menuecie drepcąc. Łamią się pod ocelami kopyt lody w kałużach, koła wrzynają się w skorupę śniegową, nosy się nikczemnie czerwienią... Aby prędzej!

Istnieją od nas do Kabzic dwie drogi gościniec i tak zwana „na rzekę.“

— Na rzekę pojedziemy, jaśnie... tego? — pyta Ludwik.

— Można chyba będzie — odpowia-

damy zbiorowo, — dużo bowiem jest bliżej.

Jedziemy „na rzekę.“ Po upływie pół godziny, minąwszy długą wieś Biebrzczyn, dojeżdżamy nad brzeg rzeki, słusznie zupełnie dla usprawiedliwienia nazwy drogi istniejącej. Przejechać ją trzeba w bród w tem miejscu, gdzie tworzy ona szeroką szyję kilkudziesięciumorgowego stawu. Powierzchnię wody kryje dość cienka, śniegiem przyprószona błonka lodu.

— Pod tym lodem jest woda, pod tą wodą jest... tego.. twardy — tłumaczy nam „do wyrozumiałości“ oraz dla odegnania strachu nasz furman.

— A jeśli niema... tego?

— Ale, hale! — powiada dumnie i powiem nawet pogardliwie.

Powiedziawszy to dumnie i pogardliwie, puszcza konie ostrożnie z początku, następnie tnie je batem z całej swej furmańskiej siły. Jesteśmy na środku rzeki zbliżamy się ku przeciwległemu brzegowi, gdy nagle lód, ów drugi, z łoskotem pęka — i naprzód Bohun a następnie Figlarka wpadają w wodę tak, że widać tylko kleszczyny chomąt i łby; wózek

chwieje się na prawo, na lewo, i zwolna, melancholijnie tonie wraz z olbrzymią krą, którą oberwał. Fontanny wody, zaczynają bulgotać przez półkoszki; zalewają miejsca na nogi, przód wózka zanurza się tak, że woda przechodzi przez wierzch.

Dżentlemani, piśnięcie spazmatyczne wydawszy, wyskakiwać poczynają z zadziwiającą szybkością; mr Jean skacze na przepływającą krę, z niej usiłuje dostać się na ląd; za jego przykładem idzie pan Zygmunt i Henryk. Widzę nagle rozpierzchającą się wodę, połę czyjegoś haweloka w czyjejś pięści, dwie zadarte do góry nogi w wysokich kaloszach i czarnych niezapominajkach, czarne wąsiki, ogoloną brodę i roztwarte wysoko usta o cal nad powierzchnią wody...

Oho!

Szczęściem nie topi się żaden dżentelman, — owszem wyłażą na brzeg w straszliwych, co prawda, postaciach. Dziwne tam podskakiwania robią na jednej nodze, na dwu, szczególne przykucnienia, biegając po brzegu, już to jak zające już jak dzikie rumaki, wrzeszczą nadludzko, czasem nawet po prostu wyją.

Na bryce pozostaję ja i Ludwik. Stajemy na siedzeniu które woda podmywa; konie rzucają się, piersiami biją w krawędź lodu, na którym leżą ich pyski... Siedzimy w studni; dokoła jest cembrowina lodu, oddalona od nas o kilka łokci. Woda z dyabelskim szmerem płynie przez wózek: konie narowią się, wskakują jeden drugiemu na grzbiet, łamią dyszel, rwą postronki.

— „Heu! me miserum!“ — myślę sobie.. Nie mogę już wyskoczyć, ponieważ kry odpłynęły; jeśli zaś nie wyskoczę, to lada chwila wózek się wywróci lub woda wasąg uniesie, nasiąknę w moich ogromnych niedźwiedziach wodą, jak cukier... Na dobitkę Ludwik zgłupiał najzupełniej; stoi obok mnie na siedzeniu, powtarzając melancholijnie:

— Masz teraz... tego... i tego... — jakby chciał przepowiednię mi określić — teraz się tu już, jucho jedna, utopisz.

Wieś Biebrzczyn odległą jest od rzeki o jakie pół wiorsty... Na rozpaczliwe beknięcie dżentlemanów i nasze z Ludwikiem ryczenie o pomoc wysuwają się z chałup chłopi, stoją, „mendykują,“ wreszcie rusza ku nam jeden z drągiem, dru-

gi z żerdzią, trzeci z siekierą, z powrozem. Przybiegła ich nad brzeg gromadka, stanęli i znowu „mendykują.“

Czuję, że słabo mi się robi na myśl straszliwą, tę mianowicie, iż pomendykują, podziwują się i pójdą.

Ale oto jeden z gromady zdejmuje kożuch, pasikiem opasuje krótki „spencerek“, bierze w garść drąg i idzie ku nam.

— I m eszkało między nami — powiada Ludwik, a patrzy na mnie tak, jakby miał chęć mię ucałować.

Idzie chłop a drągiem w lód bije. Złamał zwierzchnią skorupę, wpadł w wodę po pas, stoi na owym drugim lodzie, podnosi żerdź w górę i bije z całej mocy; co palnie w lód, to okropnie, przeciągle: chcha! — a bije. Rozpierzcha się woda, zalewa całego, ten nic... bije.

Chce niby krawędź lodu, tamtą „warstwę“ jaśnie... tego... oberwać — oświeca mię Ludwik, — żeby konie mogły niby tego...

Na nic. Spodnia warstwa drągiem urwać się nie da. Stanął chłop, wodę otarł i poczyna rozbijać zwierzchni lód. Potłukł go na drobne kawałki kry i do-

radził Ludwikowi podciąć konie. Podciął Ludwik, wyskoczyły z głębi wody na twardy lód i stoją nad nami, siedzącymi w dole.

— Ruszajcie-no Ludwik — powiada chłop, — może się wzniesie.

— Co ci się ma wznieść, kiedy śnice pod lód... i pokój...

— A no, rżnijcie batem, bo to na nic!

„Rżnie“ batem mój Ludwik, aż woda od wierżgania koni na nas strumieniami leci, lecz wózek tylko bardziej pod lód się podsuwa.

— To nic nie będzie z tego interesu mówi chłop do mnie; — panie ja pana wyniosę.

— Alboż mię udźwigniecie? — pytam słodko.

— Hii... — zaśmiał się pogardliwie... Nie bój się, chudziaku, nic.

Przebaczam chamowi owo „chudziaku“ ponieważ trzęsie mię jakaś dyabla febra z przerażenia. On tymczasem wbija drąg w dno rzeki, sam staje na skraju lodownika, plecami do mnie odwrócony, na drągu opiera ręce i powiada:

— Skikoj, panie, ino leciuśko.

Stoję, jak kolos rodyjski, na literkach wózka... mam wykonać skok nad głębią wody... A jeśli nie trafię na te plecy szerokie, niedźwiedzie? O, rozpaczy!

Noze, ma-li — woła chłop.

— ...Ale nas ode złego.. i hop! Trafiłem! Jestem już na plecach chłopa, obejmuję go za szyję tak serdecznie, tak mocno! Zachwiał się, pochylił tak, że twarzą dostawał do wody, wysapał się, wyprostował i wolno posuwać począł. Rękami oparłszy mu się na ramionach, nogami go w pasie objąwszy, wisiałem, jak marna żaba, do najwyższego stopnia nieestetycznie. Woda była chłopu po pas.

Szedł, nogi po kilka cali posuwając; odgarniał rękami zbitą masę kry, zsiadającą się w około. Spodnia warstwa lodu podziurawioną była, kilka razy noga wpadała mu w przepaść, wtedy stawał i cały dwustofuntowy mój ciężar utrzymywał na jednej nodze, drugą ostrożnie z dziury wydostawał i przyduszonym głosem mówił ze złością:

— Trzymać się ta równo! nie gibotać!

Dziwię się dziś, jakim cudem nie dałem mu wówczas tak zwane „w łeb" za

wyrażone w tej formie przestrogi, — ale wówczas... byliśmy nad przepaścią, na załamujących się lodach, na osuwającem się oparciu stóp. Była nawet wówczas sekunda taka, że, wśród przejmującego mnie do szpiku kości strachu, uwierzyłem, jako mrzonki o równości ucieleśniają się... na załamanych lodach.

Po kwadransie piekielnej wędrówki wyniósł mię wreszcie na brzeg suchy, postawił na ziemi, jak worek żyta, i jak dzik sapnął:

— Uhaa!

Rozczuliło mi się serce: wyjąłem rubla (jak Boga kocham!) i dałem mu całego. Gdy mię pod nogi podjął, a potem stał bez czapki, przypatrywałem mu się z serdeczną jakąś, szczególną, niewypowiedzianą radością: silny, jak słoń, od konia wytrwalszy, a taki dobry nadzwyczajnie, niewypowiedzianie dobry!

Na szerokiej jego brzydkiej twarzy rozlewała się radość (na widok zapewne otrzymanego rubla) — lecz oprócz niej było coś innego jeszcze — duma chamska, ani chrześcijańska, ani wysoka, lecz chłopska „dobroć“ — taka: „kiejem dobry, to dobry, i basta!“

Pamiętam, że na sekundę poczułem ku chłopu temu coś takiego, coś... o tyle szczególnego, ile nieprzyzwoitego.

— Nie zimno wam? — spytałem go czule.

— W cholewy mi się, ścierwa nalało! — mruknął i poszedł po pozostałych na przeciwnym brzegu dżentlemanów. Przeniósł ich po kolei, tak jak mnie, na „barana“. Wkrótce poczęli wszyscy trzej dziwnie energicznie „rwać“ ku wsi, na obraz i podobieństwo koników polnych Ja toczyłem się za nimi w wielkich niedźwiedzicach z całą już stanowi memu należną rzec mogę, powagą.

Gdym doszedł do pierwszej chałupy, należącej właśnie do Pyzika Jacka, wybawcy naszego, zastałem wszystkich trzech dżentlemanów .. pod pierzyną.

Leżeli, jak jeden mąż, obok siebie, pozbawieni fraków, niezapominajek, krawatów, koszul i t. d., milczenie ponure, nieszczęściu przynależne, zachowując. Co za mina fryzur! jaka dewastacya wąsów! Nosy koloru wody, szczególniejsze dzwonienie zębami, tragedya w wejrzeniach. Fraki od Chabou suszą się na grzędzie obok sukman, kożuchów i „szmat“ bab-

skich; koszule wygrzewa przed ogniem Pyzikowa, kamaszki szoruje wiechciem chłopak. Usiadłem na skrzyni, malowanej w zielone, niebywałego wyglądu, kwiaty, u wezgłowia worka, zdolnego całe pokolenia podtrzymać, i zaprawdę zasmuciłem się: jakżeż to? wyższe społeczeństwo naszej warstwy w tej postawie, pod pierzyną?...

— Szlachta wchodzi w lud i staje się ludem.., — dzwoniąc zębami, wyksztusił zawsze dowcipny pan Henryk.

Z najtragiczniejszego położenia umie wyczerpać coś wesołego.

— Czemuż szwarcówki nie pije, jeśli się staje ludem? — nie otwierając oczu, wydzwonił nasz filozof powiatowy, pełniący jednocześnie obowiązki tegoż powiatu pieczeniarza.

— Macie galicyankę, matka? — pyta pan Jan.

— Któż ja? jaśnie panie.

Chłop, czy baba, ilekroć zaprzeczyć nie może, a twierdząco na pytanie odpowiedzieć nie chce, zada napewno takie „któż ja?“, a namyśla się tymczasem nad odpowiedzią.

— No, wy.

— E, mój ta za tem nie chodzi,..

— Chodzi, czy nie chodzi, dawajcie!

Otwarła babina do komory i wyniosła zieloną butelczynę... Dżentlemani palnęli po kieliszku.

— *Encore une fois!* — powiada filozof.

— *Encore une fois!* — odpowiada chór.

Otucha niejaka wstąpiła w nas wszystkich. Wchodzi tymczasem Pyzik, zdejmuje czapkę i uśmiecha się. Skromnie usiadł sobie na ławie: woda zeń płynie strumieniem.

— Jagna! -- powiada do żony, — daj-no onucki.

— Aj-no, pójdź-ze! — stoploełeś się, to se cierp...

— Nygus baba! — mruknął do nas poufale, obwinął nogi zmoczonemi gałganami i zabrał się do wyjścia.

— Gdzie wy idziecie gospodarzu? — zapytaliśmy.

— Wywlecemy a to z furmanem wózek.

— A gdzież reszta tamtych... cha... te!... gospodarzy?

— Poszły, psiakość do domów. Zmarzły psubraty.

Zaśmiał się i poszedł. Nastała cisza. Pyzikowa suszyła trzecią już z rzędu koszulę, wyżymała spodnie i t. d., przybierając skromną minę. Dżentlemani odtajawszy, ducha nawet figlarności nabierać poczęli; mnie tylko ogarniała rozpacz: wieczór nadchodził nie zobaczę jej.

W chałupie śmierdziały kartofle, kożuchy, buty, pomyje, jakieś tłuszcze, wreszcie specyalnie chłopski zapach, siarkowodór, czy jak się tam nazywa...

Patrzałem leniwie na suchotniczych świętych częstochowskiego pędzla, na ławę z poręczą przy łóżku, na straszliwy piec z kominem, na płową czuprynę chłopaka, ucierającego nos palcem i z niezmiernem przerażeniem wpatrującego się we fraki, wiszące na grzędzie. Sen mnie ogarniał i ogarnął. Drzemałem dość długo. Nagle zbudził mię okrzyk dżentlemanów:

— Jedziemy! — wołali, wdziewając wysuszone ubranie.

— Jakto... jedziemy?

— Jedziemy na imieniny.

Stefan Żeromski.



Z WIECZORNYCH WRAŻEŃ.

Wieczorną porą nad ciche sioła
rozkołysanych głos dzwonów płynie,
spiżową pieśnią ku niebu woła,
srebrzystą skargą po rosach ginie...
A nieuchwytny, choć wielki i silny,
a nie raduje, choć zda się wesoły,
a nie zasmuca, choć zda się mogilny,
a nie ukaja, choć są w nim anioły ..

Tak się i moje uczucia żalą —
i chciałbym płynąć przez mgliste drogi
razem z tą słodką, tą dźwięczną falą,
co, zda się, bije o niebios progi.

Wieczorną porą na kwietnej łące
woni moc wielka poi, odurza;
to polne kwiaty silnie pachnące,
storczyk i tymian i dzika róża...

O nieuchwytne a błogie wonie!
do snów kołyszą i ze snu budzą,
dzika w nich jakaś namiętność płonie,
i tęsknić każą, i serce łudzą...

Tak się i moje pragnienia palą —
i chciałbym płynąć przez mgliste drogi
razem z tą słodką, tą wonną falą,
co, zda się, bije pod niebios progi.

Wieczorną porą w znużonej głowie
dziwne się myśli rodzą i świecą.
Dziwne! — nie dają zamknąć się w słowie,
a czasem bystro gdzieś w górę lecą,
a czasem błądzą, marnieją, giną...
Jest w nich coś z jęku wieczornych dzwonów,
coś z polnych woni ponad doliną,
coś z nieuchwytnych, anielskich tonów...

Moje te myśli — a przecież cudze
i tak mi trudno pojąć ich loty.
Czy one z nieba? Może się łudzę,
może są tylko z ziemskiej tęsknoty?...

Jerzy Żuławski.



BŁYSŁO I ZGASŁO.

Wysoko, na kamiennym balkonie jednego z wykwintnych domów Alei Ujazdowskiej, stała młoda, piękna kobieta. Była tak zadumaną, iż nie zwracała uwagi na ogromny ruch uliczny, wzmagający się z każdą chwilą. Nad nią wisiało niebo, tak błękitne i spokojne, jak gdyby wszystkie serca ludzkie zapomniały o swych troskach i kłopotach. Słońce zachodziło, a ostatnie jego promienie krwawemi blaskami ubrały dachy domów.

W dusznem, przesiąkniętem dymami i kurzawą powietrzu, można było jednak odczuć woń bzów i jaśminów, kwitnących w sąsiednim ogrodzie. Przez otwarte okno jakiejś willi popłynęły przytłumione dźwięki fortepianu, a łagodne, rzewne tony two-

rzyły dziwny kontrast z turkotem i wrzawą uliczną.

Patrząc z balkonu na krwawy odblask słońca, słuchając coraz cichszych dźwięków melodyi, Helena myślała o tym dziwnym liście, jaki dziś od babki dostała, i który dotąd jeszcze leżał u jej stóp, rzucony tam niecierpliwą ręką. Na zgniecionej ćwiartce białego papieru widać było dwa wyrazy, drżącym lecz wyraźnym napisane charakterem: „wioskę rodzinną...“

Rzuciwszy w dół okiem, Helena mimowoli ujrzała te dwa słowa i cała treść listu stanęła jej w pamięci.

— „Pamiętasz jeszcze wioskę rodzinną? Pamiętasz nasz cichy, biały dwór, w którym się urodziłaś i wychowałaś? Pamiętasz ten krzyż stary, wyciągający swe ramiona z kępy jałowców i dzikich róż? Pamiętasz, jak podczas szarej godziny opowiadałam ci o wielkich cnotach i ludziach wielkich, o obowiązkach względem ziemi rodzinnej.

Czy też już tak cię ten wir światowy porwał i ogłuszył, iż nawet dla tych wspomnień nie masz czasu, ani serca? Napisz mi szczerze, chcę wiedzieć całą prawdę, choćby jak najsmutniejszą była

Jestem już bardzo zmęczoną i osłabioną, stare nogi odmawiają posłuszeństwa: Bóg niezadługo powoła mnie do siebie. Ale przed śmiercią chciałabym raz jeszcze wiedzieć, czyś szczęśliwa, i czy wszystkie ideały, w których służbie ojciec twój życie spędził, nie stały się dla ciebie przedmiotem wzgardy lub pośmiewiska. Niestety! Przeczucie mi mówi, że tak jest. Listy twe przychodziły rzadko, i— czuję to, nigdy nie były szczere; nastrajałaś się na fałszywą nutę, nie chcąc mnie martwić; lecz wierzaj mi, że ten brak zaufania właśnie najwięcej mnie bolał. To też dziś, gdy każda godzina może być moją ostatnią, dziś muszę prawdę wiedzieć. Mam nadzieję, że przypomnisz sobie wszystko, co nas łączy, i w imię tego nie odmówisz ostatniej mej prośbie."

Tak, babka miała słuszność! Helena nigdy już teraz nie myślała o gnieździe rodzinnem, ani o samotnym grobie przedwcześnie zgasłego ojca. Nigdy nie wspominała sierocych lat dziecięcych, w czasie których babka była jej jedyną opiekunką, a nawet do niej, do tej świętej, pisała rzadko i jedynie z obowiązku.

..... Ulicą pędziły wykwintne ekwipaże

i dwukonne dorożki. Chodniki roiły się od spacerujących: tłumy ciągnęły zwolna, hałaśliwie, popychając się, potrącając i znajdując niezmierną rozrywkę w krytykowaniu sukien i kapeluszy, oraz w całym tym gwarze, turkocie i kurzu.

Lecz między tym tłumem znajdowali się ludzie, szukający po ciężkiej pracy nie plotek i banalnych rozmów, tylko spoczynku i wytchnienia; były dusze, odczuwające piękność tego letniego wieczoru i tęskniące do wsi i do lasu. A takim było tu źle i strasznie; zamiast spoczynku, znajdowały dziwne znękanie i nieokreśloną tęsknotę

Pierwszy raz Helena uważnie na te tłumy spojrzała, poznała, jak mało wytchnienia i świeżego powietrza mają pracujący Warszawianie.

Z westchnieniem oczy od tłumów oderwała i wzniosła je wyżej, tam gdzie nad dachami, strojnemi w złoto, srebro i purpurę, nad długiemi rzędami kominów jaśniało cudne, spokojne niebo, rozgorzałe jedynie od zachodniej strony.

I zdawało się tej pięknej, strojnej kobiecie, że zamiast miasta, zamiast rzędu dachów i kominów, ma przed sobą falują-

ce łany zbóż, kwieciste łąki i ciemne bory. I zdawało jej się, że pomiędzy drzewami widzi dwór rodzinny, więc myślą pobiegła do niego i duszę rzuciła na kolana przed starą, schorowaną babką swoją.

„Oto jestem, babciu!.. Byłam bardzo, bardzo niedobra; o mych obowiązkach względem tej ziemi o domu rodzinnym, zapomniałam zupełnie; o grobie ojca nie myślałam nigdy, ale nie gniewaj się na mnie, bo nie byłam szczęśliwą. Nigdy, wśród największej zabawy, nigdy na chwilę najmniejszą nawet nie byłam zadowoloną z siebie i innych Uśmiechałam się wesoło, rozmawiałam z gośćmi, napełniającymi zawsze mój salon, ale czyniłam to przez dumę, która nie pozwalała odkryć obcym stanu mej duszy. Dawniej, gdy wbrew twej woli opuściłam rodzinne strony, poślubiwszy niekochanego człowieka, gdy z radością rzuciłam się w wir zabaw, myślałam, że takiem jest moje przeznaczenie. Niestety wcześnie bardzo poznałam swą omyłkę, lecz wtedy było już zapóźno...“

Helena zapomniała zupełnie o całym otaczającym ją świecie; zapomniała o wszystkiem, co dotąd życie jej zapełniało. Widziała się ciągle w białym dworze, u stóp

babki, i składała przy nich wszystkie winy, wszystkie bóle swoje.

Obudziwszy się po chwili z tego marzenia, spojrzała uważnie na spacerujące tłumy, i w głowie jej, pod wpływem listu babki powstała pewna myśl. „Mój Boże, jacy ci ludzie biedni! Pomyśleć, że całe lata męczyć się będą w tym kurzu, w tej wrzawie.. W dzień pracują, wieczorem duszą się wyziewami miasta... gdyby to tak im pomódz? Założyć coś w rodzaju kolonii letnich, ale dla dorosłych, dla pracujących?... Wszak mam możność to uczynić... Babcia by taka była szczęśliwa!

Tam, niedaleko białego dworu, w tym ogromnym budynku, w którym dawniej mieszkała służba, teraz kilkanaście osób wygodnieby się pomieściło. Lecz kogoby wybrać? Jak się tem zająć? Najwięcej spoczynku potrzebują szwaczki...“ Ta warstwa pracownic najlepiej była znaną Helenie, jako elegantce, ciągle potrzebującej usługi niewolnic igły. „Doskonała myśl! Jak się też te blade twarze na jasnem słonku ogrzeją! Jakiemi rumieńcami zakwitną! Chodzić będą codziennie do lasu, tam spędzać po kilka godzin, a wieczorem, pod kwitnącemi lipami babcia będzie

im ciekawe i pouczające rzeczy opowiadała! O! jak się ta droga babcia ucieszy!“

Nagle jednak zniechęcenie przemknęło przez głowę młodej kobiety — wszak tem wszystkiem trzebaby się samej zająć! A ten wyjazd do Ostendy dla poratowania nerwów? A wyścigi w Longchamps, a obstalowana u Hersego przepyszna toaleta?...

Ale nie! co tam Ostenda, Paryż! nerwy lepiej odpoczną na cichej spokojnej wsi, cera również lepszą się stanie wśród regularnego życia. A przytem ta droga babcia! Jak miło będzie widzieć jej szczęście z przeobrażenia wnuczki! I te biedne, spracowane dziewczęta, jak one odżyją! Mąż jej przeszkód nie będzie stawiał, zanadto jest dobrze wychowanym; zresztą, zawsze na wszystko jej pozwalał.

Co prawda, projekt tegorocznej podróży był znakomity: Paryż, Ostenda, ale czyż to się nawet da porównać z tem zadowoleniem moralnem, jakie daje dobry uczynek!..

Nagle, we wpółotwartych drzwiach balkonu ukazał się lokaj w szafirowej liberyi i monotonnym głosem dobrze na-

kręconej maszyny," rzekł: „Proszę jaśnie pani. suknię przynieśli z magazynu".

Helena drgnęła w oczach jej błysła radość. „Wszak to ta suknia na wyścigi! Czy tylko Herse dość artystycznie ją odrobił?

Nie namyślając się, wbiegła w głąb mieszkania.

Te kilka słów służącego zbudziło nagle całą teraźniejszość. Marzenie pierzchło, by więcej nie wrócić...

Na szarej, kamiennej posadzce balkonu pozostała tylko biała plama porzuconej ćwiartki papieru, zapisanej drżącem pismem...

Słońce zaszło...

Janina Rodysówna.





ROJENIA.

Lubiłabym płynąć przez wiry tych głębi,
Gdzie woda się burzy, i kipi i kłębi,
I białą rozpryska się pianą,
I chciałabym wtedy opuścić w dół wiosła,
By fala szalona łódź moją uniosła
W błyskawic krainę nieznaną.

I chciałabym dosiąść dzikiego rumaka
I lecieć przez stepy, gdy pustka w krąg taka
Że wiatr jeno świszcze i wyje:
Pijana przestrzenią w dal lecieć bym chciała
Pić rozkosz bezmiaru i tonąć w nim cała
Jak ptak, co nad światem wiatr pije.

I chciałabym zasnąć... nie w nocnych chwil
ciszę

Lecz kiedy jodłami zły wicher kołysze,
A niebo od gromów się żarzy;
Nad brzegiem przepaści bezdennej i czarnej,
Gdzie orzeł się nawet wśród pustki cmentarnej
Na skrzydłach szerokich nie waży.

A kiedy sen nocy rozścieli się wkoło,
Ja chciałabym oprzeć na głowie lwa czoło,
Kark złoty opasać ramieniem,
Do grzywy królewskiej przytulić mu głowę,
I w żarach pustyni sny roić tęczowe
Pod nocy gwiaździstej sklepieniem.

Edma Mierz.



Gdzieś ty...

Gdzieś ty, o gdzieś ty?!.. Kocham cię jedyna,
Kocham cią zawsze... Zdasz mi się tak blizka,
Że tylko rękę wyciągnąć ku tobie,
A ręka, zda się, twą rękę uściska.

I tylko ramię wyciągnąć ku tobie,
A ramię kibić twą obejmie wiotką,
I tylko lekko zgiąć cię, a ku piersi
Ty się pochylisz i uśmiechniesz słodko...

I tylko usta wyciągnąć, a twoich
Ust się poczuje pocałunek.. Nieba!
Aby już nigdy nie zatęsknić do niej,
Ileż lat jeszcze potęsknić potrzeba?..

Kazimierz Przerwa-Tetmajer.

NIEMCZAKI.

Ich matce.

Poszła za niemca. No, trudno! Tego już nikt nie zmieni. Nie była zresztą Wandą, była Felcią, nie mieszkała nawet nad Wisłą.

Dwór wiejski, z którego była rodem, zapadał się wiek po wieku i belka po belce w ten klin żyznej ziemi, która, między Nerem a Wartą leżąc łęczycaków od kaliszanów grodzi. Inaczej, gęściej jeszcze i hałaśliwiej szłyby między nimi owej stare spory, które z jakichkolwiek przyczyn powstałe, regularnie się kończą jednym argumentem: ze strony kaliszanów, że łęczycaki, jak piskorze piją, a ze strony łęczycaków, że kaliszany kiedyś tam zblamowali się zupełną rejteradą. Ano, Bóg z nimi!

Zapadał się tedy ów dwór stary, belka po belce i wiek po wieku; syny po ojcach, wnuki po dziadach szły, a nad każdem pokoleniem pułap coraz to był niższy, coraz to bardziej tłoczący... Aż ścisnął ich wreszcie tak, że ze starego, prastarego gniazda wyszli i po świecie roztułali się jakoś.

Synów miał ostatni dziedzic kilku; poszło to jakby tem wiatr pomiótł, tam, sam, nie wybierając wielce, a całą fortunę w węzełkach niosąc. Ale córka jedna była, Felcia. Tę, gdy się krewnej na opiekę do Prus dostała, niemiec jeden upodobał wielce, a że był młody, przystojny, pracowity i proceder kupiecki dość mu zysków czynił, wyszła za niego dziewczynina, nad czem stary pan starego dworu, teraz na rezydencyi u krewniaków aż gdzieś w ziemi krakowskiej siedzący, długo bolał skrycie

Co do Felci, ta była szczęśliwą.

— Takie to tam i szczęście! — mawiał stary pan, paląc długą fajkę i kiwając głową. Postaw z bławatu, a wątek pocześny!

Zachmurzał się i mówić wogóle o tem nie lubił i listy nawet do córki dawał adresować komu innemu, żeby własną ręką nie stwierdzać zniemczenia się rodu. Co do zięcia, tego stale „szwabem“ lub „kupczykiem“ nazywał; a gdy mu z biegiem czasu dwóch wnuków przybyło —

— Tem gorzej! — mawiał — tem gorzej! Lepiej, żeby to zgasło, niż ma degenerować!

I rzeczywiście, zaczęło się jakoś na zgaśnięcie mieć, bo chłopaczki były delikatne i wątłe, czem się matka niemało trapiła.

— Chłopaczki moje biedne — pisała do krewniaków w Krakowskie — nie mają tego powietrza, jakiem oddycha droga wasza dziatwa! Nie mają pól, nie mają łąk, żeby biegać po nich, nie mają zapachu lasów, rosy, kwiatów, nie mają słońca naszego, coby ich krzepiło...

— Jak myślisz? — rzekł gospodarz po liście tym do żony. Możeby tych tam malców Felci na wakacye wziąć?

— A może!

Ale starszy pan oburknął się na to.

— Jak tak — mówi — jak mi tu sprowadzać chcecie tych szwabów, to ja się zawczasu wynoszę.

Nie wyniósł się jednak. Miał tu wygodę, czuł serce a nadewszystko tę atmosferę obywatelskiego życia, od której późno mu było odwykać. Tu jeszcze mógł, w ganku stanąwszy, huknąć ne całe gardło: „Zaprzęgaj“! tak, że echo po trzykroć od węgłów stodoły odbite, aż u lamusa gdzieś cichło. Tu chłop przechodzący mimo dworu, czapkę jeszcze zdejmował, czy był kto, czy nie był w ganku. Tu, co niedziela, siadywał w kolatorskiej ławce, gdzie mu gospodarz, jako starsze-

mu wiekiem, przy kobietach miejsca ustępował, tu wreszcie miał swoją sławną wyżlicę „Czajkę“; i nie mniej sławną strzelbę „porucznikówkę“, z której sobie lubił czasem do wron puknąć. Słowem, tu jeszcze pod nogami grunt czuł, był obywatelem.

Nie wyniósł się tedy. A choć się zżymał, kiedy listy, układające podróż chłopców, zaczęły gęściej latać, choć zamknął się, gdy konie po dzieci na stacyę szły, przecież posłyszawszy, jak wracająca nejtyczanka zaturkotała na podbrukowaniu, a Wojciech z bata palnął — wyszedł z fajką na ganek, a że ogromnego wzrostu był, chłopcom się przez głowy gospodarzy i domowników przyglądał.

Rażne to było, jak skierki, ruchawe, eleganckie, opięte ale zmizerowane bardzo. Twarzyczki bledziutkie, jasnowłose główki, ciałka szczupłe, rączyny i nożęta cienkie — ot chucherka takie.

W ganku gospodarz uściskał ich serdecznie, gospodyni także, czem dzieci, jakby przestraszone nieco, kłaniały się, na wszystkie strony, od rodziców widać pięknie wyuczone, jak z nut szczebiocząc jeden przez drugiego.

— Guten Tag lieber Onkel!

— Guten Tag liebe Tante!

— Tfu! — dało się słyszeć w tem miejscu energiczne splunięcie starego pana, w chwili właśnie, kiedy starszy z chłopiąt, siedmiolatek, recytował w powietrze,

nie wiedząc właściwie do kogo się zwrócić:

— Guten Tag liebster Gross-Papa!

Służba parskała w garście śmiechem za plecami państwa. Te małe, pięknie ubrane i tak rezolutne paniczyki zupełnie jej się wydały podobnymi do tych nie przymierzając małpek uczonych, które niedźwiednik na ramieniu nosi. Słyszane rzeczy, żeby zaś takie bębny po niemiecku mówiły, jak te stare kolonisty z Ręczaja?

Ale gospodarz i gospodyni zachwyceni byli dzieciakami. Ich bystre, inteligentne twarzyczki, ich śmiałość, ich dobre ułożenie, ich obycie się z ludźmi, wszystko to podobało im się niezmiernie. Nawet ich subtelność chwytała za serce, takie to było przejrzyste, tak się proszące słońca i opieki. Domowe dzieci obstąpiły chłopców dokoła, dotykając ich pięknie skrojonych kurteczek, zręcznych kapelusików, torebek podróżnych, a nadewszystko rękawiczek, których nie nosiły jeszcze same. O witaniu rzecz prosta, nie było na teraz mowy; rekognoskowały dopiero. Jedna tylko trzechletnia dziewczynka, nastawiwszy do pocałunku rozchylone usta, dreptała od jednego do drugiego, zadzierając jasną główkę i obnosząc „buzi".

— Jak wody, jak wody, tak to dziecko tej buzi daje. Nic nie żałuje! — wołała zachwycona niania, pragnąc choć część

powszechnej uwagi zwrócić na swoją pieszczotkę.

Ale stary pan, we drzwiach za wszystkimi stojący, nie zrobił kroku naprzód, tylko pykając fajkę i dmuchając w wąsy, patrzał na malców z pod brwi siwych, zsuniętych i krzaczastych.

— No, jakże, wuju! — zwrócił się do niego żywo gospodarz. — Jakże się wujowi chłopaki wydają? Zuchy, co? Taką drogę, i sami przebyli.

— At — machnął ręką zapytany — wsadzili ich jak laiki w pudło; to i przyjechali.

No, ale ładne chłopaki? sprytne? dobrze ułożone?

— Niemczaki! — odrzekł na to stary pan, i odąwszy wargi, rękę tylko wyciągnął do pocałowania chłopcom, których w tej chwili właśnie gospodyni podprowadziła do dziadka.

— Jakże ci na imię kochanie? — spytała gospodyni serdecznym głosem, chcąc zatrzeć wrażenie tego powitania.

Okazało się, że chłopiec niebardzo wie, o co go pytają. Powszechne zdziwienie. Więc nie umie po polsku? Coś nie coś umie, ale nie tyle, żeby się rozmówić. Umie pacierz, umie nazwać ziemię i wieś, w której się urodziła matka, umie nawet wymówić nazwisko jej panieńskie, nazwisko dziadka. Ale i to wszystko kaleczy.. Jakże? Mama cały dzień w sklepie, ojciec w kantorze, a służąca — niemka.

Tak i tak dowiedziano się nareszcie, że starszemu na imię Gustaw, a młodszemu Henryk. Imiona te przyjęto wprawdzie do wiadomości, ale się niemi jakoś nie posługiwano.

Natomiast przylgnęła do nich szczelnie i odrazu nazwa, nadana przez dziadka „Niemczaki“.

Dzieci chwyciły to pierwsze, za dziećmi służba, gospodarze też jakoś to przyjęli, dość, że w całym dworze, ba we wsi, nikt chłopców nie nazywał inaczej:

— Niemczaki, na obiad!

— Niemczaki, chcecie mleka?

— Niemczaki spać!

Prawie też, że i nie było o co więcej wołać. Chłopaczki były karne, łagodne, uprzejme, wesołe, a tak się pilnowały wzajem we wszelkim porządku, jakby tego i bona lepiej nie zrobiła. To też ta nazwa „Niemczaki“ nie miała w sobie nic wzgardliwego, nic nieprzyjaznego. Raz wraz owszem, powtarzano domowym dzieciom:

— Patrzcie, jakie to niemczaki mają czyste ręce! Widzicie, jak to starszy niemczak młodszemu nosek obciera? Patrzcie, jakie niemczaki zgodne, jak się nie biją, nie kłócą! Czemu to wy nie jesteście tak jak niemczaki, posłuszne i grzeczne?

Chłopcy też do tej nazwy jakoś przywykli, i tak do nich, jak skóra przyrosła.

Minął miesiąc, minął drugi — niemczaki, lubo z silnym akcentem, wcale nieźle po polsku szczebiotać zaczęli, przez co

jeszcze się milsi, jeszcze bliżsi wszystkim uczynili. Niemczakami przecież zostali. Co do dziadka, ten zawsze na nich patrzał mrocznie. On sam czuł ciągle i pamiętał tę obcość ich rodu; on sam utrzymywał rozdział między sobą a wnukami; on sam też jeden w całym domu nadawał tej nazwie „niemczaki“ coś wzgardliwego, coś obraźliwego. Domowych chłopców, którzy mu byli. jak żerdź po płocie, na kolana brał. piosenki im stare gwizdał, myśliwskim swoim rogiem bawić się dawał. Czajki, wygrzewającej się na słońcu, dosiadać i targać za uszy nie bronił, ale niemczakom — wara! Zdaleka tylko patrzeć na to musiały. Im nic nie było wolno. Co gorsza wyłączone były z „Instrukcyi“. Instrukcyą nazywał stary pan ćwiczenia swego pomysłu, rodzaj mustry, w której chłopcy te nosiły kije jak strzelby, maszerując dokoła klombów, to uderzały niemi na płoty, jak bagnetami, to machały, broniąc się i atakując, jak szpadą, to ciskały, jak oszczepem, wszystko podług swego czasu, bo każdy dzień miał inne prawidła.

Nie przypuszczone do „Instrukcyi“ niemczaki, stały tymczasem zdaleka miłosiernie patrząc i zazdroszcząc w duchu.

Starszy szczególniej, aż rumieńców dostawał na delikatnej twarzyczce z taką pożądliwością na ćwiczenia patrzył.

Widziała to gospodyni i żal jej było dzieci.

— A czemuż to wuj Niemczaków nie weźmie do mustry? — rzecze raz i drugi.

— A im to na co? — odburknął stary pan gniewnie. A pomiarkowawszy się dodał.

— Za słabi są na taką „Instrukcyę“. Ręce jak patyki nogi jak trzcinki, jeszcze by się to połamało do dyaska.

O tych rękach jak patykach i nogach jak trzcinkach, mówiło się — ot, aby mówić. Chłopaczki bowiem, harcując przez parę miesięcy po łąkach i polach, ogorzały, wzmocniały, zjędrniały nad podziw. Niechętne tylko oczy dziada nie chciały widzieć tego.

Nie o to mu też w gruncie rzeczy szło.

— Co w takich Niemczakach może być męzkiego, rycerskiego, dziarskiego, szlacheckiego, obywatelskiego, coby rozwijać warto? Z łokcia to wyrosło i do łokcia pójdzie — ot co!

Tak sobie rozumował pan stary. Właściwie to i nie rozumował nawet On tylko to czuł; a czucie upartsze bywa, niż rozumowanie.

Zdarzało się, że podczas „Instrukcyi“ trzeba było szerzej front rozwinąć albo wzmocnić flanki. Stary pan oglądał się wtedy i choć widział chłopaczków pokornie stojących, wołał Antka ogrodniczka, lub Józka szafarki, a Niemczaków na uboczu zostawiał.

Ale mieli i oni swoje uciechy.

Szczególniej starszy, kręcąc się u stajen, albo na wygonie, w łaskach u koniarków był, bo im nieraz podwieczorek oddawał, za którą to cenę, zrazu podsadzany, potem sam, pierwszego lepszego źrebca za głowę chwytał, dosiadał i oklep po pastwisku uganiał. Co go uczyniło do konia tak śmiałym i taką w nim rozwinęło siłę, że nawet do „Rokity“ śmiało szedł i na grzbiet mu skakał. choć ten koń był z narowów znany i dla dobrego nawet jeźdźca niebardzo bezpieczny.

Oczywiście, że te imprezy trzymane były w zupełnej tajemnicy: młodszy tylko „Niemczak“, który starszego na krok nie odstępował, przypuszczony był do nich na widza! Ale ten umiał sekret utrzymywać, i kawalerskim honorem, równie jak starszy się rządził. Ogromnie się te chłopczyki kochały!

Zdarzało się też, że sami we dwóch urządzali sobie na własną rękę „Instrukcyę“, przyczem starszy dziwnie czupurnie naśladował komendę starego pana, a młodszy ruchy domowych chłopców w lot chwytał. Zwłaszcza w atakach na bagnety pędrak ten celował. Kiedy się na nożynach rozstawił, bokiem nieco zwrócił, kij ujął, i obganiając się to na lewo, to na prawo, w cel godził, czy w psią budę, czy w krzak jałowcu, czy w grochowe tyczki, reprezentując nieprzyjacielską potencyę — tak mu to wszystko składnie szło, jakby się w szermiertswie owem od pieluch był ćwiczył.

Patrzył dziad na to nieufnie, niechętnie, umyślnie w stronę odwracając głowę.

— Ależ to istny żuaw, ten chłopak! wykrzykiwał gospodarz z podziwem.

— Ot szwabskie małpiarstwo i tyle! Czy to składność żołnierza robi? To dusza go robi, mości dobrodzieju, dusza!

Raz tylko, kiedy po walnej wygranej Niemczaki na kiju uwiązali chustkę i z tryumfem koło ganku idąc, wznieśli okrzyk zwycięstwa, jakiego dziad świeżo domowych chłopców wyuczył, stary pan otworzył usta, brwi podniósł, przechylił głowę, słuchał a potem z cicha:

— A kto ich wie? A może!...

Po dawnemu ich wszakże zdaleka od „Instrukcyi" trzymał.

Jakoś gospodarzowi markotno to było. Więc kiedy wypadł objazd dalszego folwarku, a konia mu przed ganek, po takiej właśnie "Instrukcyi" podano, spojrzał na starszego z chłopców, i kładąc nogę w strzemię, krzyknął:

— Niemczak? Chcesz się konno przejechać?

Skoczył chłopak jak iskra, gospodarz go przed siebie wziął, cmoknął, a młody krwisty koń w szczupakach z miejsca pomknął.

— Uważaj! — krzyknął stary pan z ganku — bo cię ten waryat z kulbaki wysadzi.

— Oho! Nie dam się! — odkrzyknął jeździec, ale głos jego do ganku echem

tylko doleciał, tak koń rwał drogę przed sobą. Folgował mu pan, bo lubił to ogniste zwierzę. Po żyłach mu taka jazda szła, jak mówił, więc choć żona truchlała, ile razy na Rokitę siadał, nie byłby go oddał za nic, ani się wyrzekł swoich na nim harców.

Jeszcze wszakże do folwarku było drogi kęs, kiedy osadził konia i, przyłożywszy rękę do oczu, pod słońce patrzył. Ale im dłużej patrzył, tem głębsza zmarszczka znaczyła mu czoło. Za ugorem, który tuż przy drodze chłop orał, widać było kupę ludzi i wozy ze zbożem. Jak się to jednak często przy złem rozporządzeniu robotnikom zdarza, w polu ludzie stali, czekając na wozy, a u stodół znowu wozy stały, za mało rąk mając do składania z nich użątku. Nic bardziej drażniącego dla gospodarza, nad widok takiej niesprawy!

Na przełaj zrazu jeździec chciał, ale mu konia na świeży podór żal było; ku drodze spojrzał, ale mu się jej więcej zdało, niżeli cierpliwości czuł w sobie. Krzyknął tedy na chłopa, uzdę mu i dziecko potrzymać kazał, a sam, szerokim i zirytowanym krokiem, ku żniwiarzom się puścił.

Był już przy nich, już słychać było jego grzmiącą komendę, kiedy woły splątały się w pługu i przewróciwszy go do góry krojem, ciągnęły po skibach. Krzyknął chłop raz, krzyknął drugi, a widząc,

że nie pomaga, zaklął siarczyście, chłopcu uzdeczkę rzucił i do wołów skoczył.

Malcowi zaiskrzyły się oczy, rozdęły drobne nozdrza, ścisnął uzdeczkę w garści, konia piętą w bok i tyleś go widział! Właśnie jakby go wiatr zdmuchnął.

— Paniczu! paniczu! — wrzeszczy chłop, mocując się na nawrocie z wołami. Gdzie; Ani mowy, żeby go usłyszał.

Obejrzał się na to wołanie gospodarz — struchlał.

— Niemczak! — zakrzyknie — Chryste Panie! Cudze dziecko!

Rzucił się do wozu.

— Wyprzęgać! Gonić!

Ręce mu się trzęsą, scyzorykiem rzemienie rozcina, ale nim na konia oklep skoczył, już tylko kłąb pyłu polatywał drogą.

. . . .

Stał pan stary w ganku i wypaliwszy fajkę, wytrząsał ją właśnie, kiedy posłyszał jakiś szalony tentent. Jeszcze nie zdążył pomiarkować, gdzie i z jakiej strony, już Rokita, jak wicher, na dziedziniec wleciał, a na Rokicie, trochę blady, ale tęgo trzymający się w siodle — Niemczak.

Jasna perkalowa bluzka w powietrzu powiewa, oczęta rozpromienione, uśmiech szczęścia w twarzy; koło u kwietnika zatoczył i prosto przed ganek.

Wypuścił dziad cybuch, otwarł ramiona, zaniemiał. A już też gospoda z nadlatywał w ogniach cały i za uzdeczkę chwy·

tał, słowa na razie przemówić niezdolny.

Porwał z siodła Niemczaka pan stary i długo na piersi go tulił, śmiejąc się i płacząc razem.

— Nasza krew! Nasza.. Nasz ród stary! poczciwy! szlachecki! — wołał, całując chłopca po włosach, po twarzy, a kiedy go wreszcie puścił i oczy otarł:

— A co, Stefanie! — rzekł. Choćbyśmy go Stachem nazwali?

. . . , ... , ...

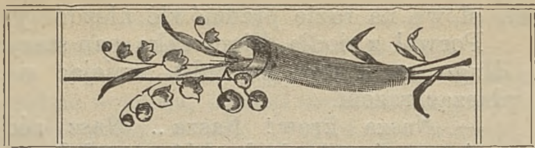
Kiedy twardą jesienią przybył ojciec, żeby chłopców zabrać i za opiekę nad nimi dziękować, nie poznał ich prawie, tak zakwitli zdrowiem i świeżością.

Zagadał do starszego, a ów z miejsca, choć z akcentem jeszcze:

— Ty do mnie, ojciec po polsku mów, bo ja ciebie nie rozumiem!

Marya Konopnicka.





Fragment.

—·—

XII. Psalm dziewicy

(w Siostrze Beatryczy)

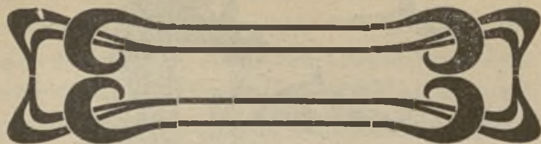
Grzechowi który mija,
Duszy, co płacze w męce
Wyciągam na gwiazd łonie
Me dobroczynne ręce.

Kiedy przemówi miłość
Nie przetrwa grzech człowieczy
Nie umrze ludzka dusza
Miłość ją łzami zleczy.

A jeśli miłość zbłądzi
Tu ziemską idąc drogą;
Jej łzy mię zawsze znajdą
I zbłąkać się nie mogą.

Maurycy Maeterlinck.
Przełożyła Bronisława Ostrowska,





Z SONETÓW SZEKSPIRA.

Jak szumne fale do morskiego brzegu.
Tak do swych kresów płyną nasze chwile;
Niema przestanku w tym mknącym szeregu:
Jedna przed drugą w równej dąży sile

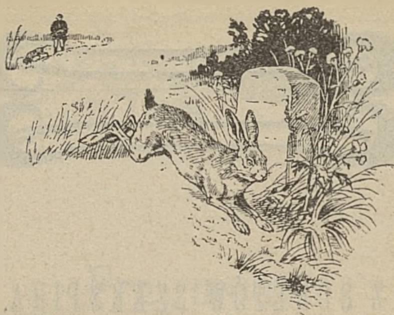
*

Wszystko, co wyszło ze światłości łona,
Dojrzewa, w blaskach coraz większych rośnie,
Aż ich promienie ciemna noc pokona:
Czas swoje dary niszczy bezlitośnie.

*

Czas kosą swoją młode ścina kwiaty,
Czas bruzdy ryje na piękności czole,
Cuda przyrody zmienia w swe objaty,
Żadne się przed nim nie ostoi pole:
Mych pieśni jednak, które sławią ciebie,
Dłoń jego krwawa w mrokach nie pogrzebie.

Jan Kasprowicz.



PO CO?

(Bajka).

Bławatek szafirowy kichnął tak silnie, że aż ładnie ząbkowane płatki jego zafruwały, i do tuż obok leżącej Ostróżki zawołał:

— A niechże go białe grady wytłuką, albo słońce niemiłosiernie spali! Cóż to za zapach przebrzydły i nieznośny! Toż to od tego na śmierć zakichać się można! Jak żyję, niczem podobnem nie oddychałem.

— Ehe! kochanie moje! — wesołym onem ozwała się na to zielona gałąź B y-licy — widać to zaraz, że liście masz długie, ale rozum krótki! W niebo wiecznie

swem szafirowem okiem spoglądasz, więc o niczem, co się na ziemi dzieje, nie wiesz. Ja zaś, którą bajki chłopskie po całym świecie noszą, znam wszystko, rozumiem wszystko, wiem też dobrze, od czego przykry ten zapach pochodzi.

— Bardzo przykry — z cichym jękiem podjęła Ostróżka — i pojąć nie mogę, skąd się tu bierze, bo u nas w polu nic woni podobnej nie wydawało nigdy.

— Oj, jak to można w tym okropnym zaduchu wspominać choćby o woniach? Ja wprost duszę się tutaj, omdlewam, nie wytrzymam, skonam!

Tak wyrzekała, srodze przytem jęcząc gwiazda prześliczna, ze śnieżnie białymi promieniami dokoła żółtego środka, której na imię było Chryzantema. Gdy zaś tak wyrzekała, jeden ze śnieżnych promieni jej, czyli płatków, omdlały i zwątlony w dół zwisnął, zupełnie jak opuszczające się w smutku uszka zwierzęce. A mądra Bylica, tęgo na twardej łodydze trzymajęca swe głęboko wcięte i białym atłasem podszyte liście, żartowała:

— Oj, wy, twarzyczki ładnie malowane pieszczoszki i faworytki słońca, gdybyście tak, jak ja, po chatach chłopskich przez

setki lat wędrowały, oswoiłybyście się z wynalazkami ludzkimi i nie jęczały tak, nie mdlały, nie konały przy każdem zbliżeniu do wielkiej, do mądrej ludzkości! Ja wiem, co to tak pachnie, że roślinę aż mdłości porywają; wiem, wiem!

— A więc cóż to jest takiego? powiedz, Bylico! — poważnie ozwał się Dzwonek jednostronny, bo z jednej tylko strony wysmukłej swej łodygi mający długi rząd liliowych kieliszków.

— Powiedz, By-li... — zaczął Bławatek i nie skończył, bo znów raz po razie kichać zaczął.

— Powiedz! powiedz! — jednogłośnie przemówiły: Ostróżka fioletowa, Powój różowy, Chryzantema i duży, żółty Rumian farbiarski, a Bylica, chwilę pomilczawszy, odpowiedziała:

— To jest mydło.

Ale kwiaty na to westchnęły tylko i Bławatek wtedy dopiero, gdy kichać przestał, zapytał;

— A zkądże ty, Bylico, wiedzieć możesz, jak się to nazywa?

— A no — odrzekła Bylica — mówiłam już przecie, że bajki mię po chłop-

skich chatach noszą, a czasem to i do pałaców ..

Nie dokończyła i, pomimo, że rozmaite rzeczy ludzkie dość z blizka znała, wzdrygnęła się i upadła na towarzyszy, wołając i stękając:

— Oj, oj, oj! tego już i ja się nie spodziewałam! Tego to już i ja znosić nie mogę. To jest okropne!

Bo do uprzedniego, ckliwego zapachu mydła przyłączył się teraz zapach inny, daleko jeszcze mocniejszy i przykrzejszy, od którego Bławatek już nie kichać, ale kaszlać począł, a Ostróżka w zamian tak się rozkichała, że aż spiczaste jej ostrogi wzajem o siebie uderzały. Dzwonek zaś począł w liliowe kielichy bić na trwogę, Chryzantema aż dwa naraz uszka w dół opuściła, a Rumian w sposób tak gruby, jak sam był grubym, klątwami wybuchnął:

— A bodaj cię osty zakłuły i bluszcze ziemne na śmierć udusiły! Bodaj cię wiatr srogi złamał a kret czarny z łona ziemi wyrzucił! Bodaj ci korzenie pędraki poprzegryzały, a łodygę miliony mszyc oblazły!

Tu Chryzantema cienkim głosikiem grubemu głosowi Rumiana zawtórowała:

— Bodaj cię słodkie krople rosy z daleka omijały! Bodajby nigdy nie musnęło cię skrzydło motyle!

— Lecz coby to być mogło? — zagadnęły wszystkie razem. — Niechże przynajmniej wiemy co wydaje z siebie tę ohydę, gorszą jeszcze niż ta, która ulatnia się z mydła! Cóż, Bylico! Takaś niby silna i wszechwiedząca, popisz się teraz ze swoją siłą i wszechwiedzą: Powstań z omdlenia i powiedz: co to?

W sposób ten, miłość własną jej podniecający, zagadnięta, Bylica wysilenia nad samą sobą dokonała i, wyprostowując się nieco, rzekła:

— To jest — nafta! To świeci, ciemności rozprasza, słońce zastępuje, jest bardzo potrzebne, ale zarazem... oj, oj!.. zarazem... bardzo obrzydliwe!

Zaledwie mówić dokończyła, wszyscy towarzysze i towarzyszki jej tak się już rozjęczeli, że w przeraźliwe i bezprzestanne te jęki żadne zapytanie, ani przekleństwo, ani jakiekolwiek słowo wmieszać się nie mogło. Kichali przytem, kaszlali i wszystkiem, czem kto mógł udręczenie swe objawiali, a przyczyną tego były pyłki niezliczone, których mnogość

nieskończona uniosła się teraz w powietrze i zapachem ostrym, nawskróś przejmującym, jadu pełnym, stłumiła same nawet wyziewy mydła i nafty.

Bylica prostowała się przecież, jak tylko mogła. i usiłując w dobrym humorze wytrwać a sławę wszechwiedztwa swojego podtrzymać, wołała:

— Tytuń! tytuń! jest to tytuń! przestańcież tak wrzeszczeć i jęczeć! Nic w tem osobliwego niema. Prosty, ordynarny, najordynarniejszy tytuń! Ludzie się tem od rana do wieczora okadzają i pomimo to ród ich nie wygasł wcale. Żyją.

— Ale my to pewnie, zanim wieczór nadejdzie, żyć przestaniemy I, ach! nigdy już, nigdy nie opuścimy więzienia tego, ani ujrzymy jak nad kochanem, złotem, szerokiem polem naszem słońce wschodzi i zachodzi! O czemużeśmy raczej w łonach pąków naszych nie pomarły! Czemu ominął nas sierp żniwiarza! Czemu nasion naszych wiatr do morza nie zaniósł i w czystych falach jego nie utopił! Pocośmy się rodziły? Pocośmy żyły? Poco cierpimy? Poco w męczarniach przedwcześnie umrzeć mamy?

I nic dziwnego, że tak wyrzekały, złym losom złorzecząc, kwiaty wykwintne, skoro miejsce, w którem niespodzianie się znalazły, nieznośnem wydaćby się musiało takim nawet najpierwszym lub najgminniejszym obywatelom państwa roślinnego, jak naprzykład: skrzypy, łopiany, osty. I te nawet musiałyby tu więdnąć i usychać, a cóż dopiero taki idealista szafirowy, jak Bławatek, albo taka arystokratka delikatna, jak Chryzantema, albo taki podczaszy wyśmienity, jak szklany Powój z migdałową wonią, albo nakoniec taki muzyk z postacią kształtną i wysmukłą, jak Dzwonek, dumnie noszący dźwięczne imię kampanuli?

Miejscem tem był sklepik ciasny i nie umywany nigdy, od sufitu do podłogi napełniony towarami takimi, jak: mydło, nafta, tytuń, pieprz, brzydkie jakieś sery i tym podobne rzeczy, z zapachami ostrymi i gryzącymi, a z pozorem mdłym, nijakim lub zupełnie szpetnym. Zupełnie szpetne były pudła i pudełka, które ściśle przy sobie na półkach stojąc, okrywały ściany pstrokacizną barw wyb'akłych lub zaśniedziałych, lecz przewyższały je w szpetności butle, butelki, gąsiory i słoje, pły-

nami kolorów nijakich napełnione, a okrywające stoły, na których jeszcze więdły cytryny, gniły jabłka, czerstwiały bułki i spaloną żółtością od pstrego tła odznaczały się aż ku brudnej podłodze zwieszające się wieńce obwarzanków. Oprócz tego, za drzwiami otwartemi na małą, ale brudną ulicę wielkiego miasta, bezprzestannie przejeżdżały powozy i wozy, przeciągały tłumy ludzi pieszych, turkotały koła, brzęczały żelaztwa, dzwoniły uprzęże, rozlegały się krzyki, szumiały rozmowy. Przez te drzwi otwarte, okrom grzmotów, łoskotów, hałasów i gwarów, co chwila jeszcze wlatywały do sklepiku rozpylone lub gęste tumany kurzawy, a w dodatku z ulicy i na ulicę wlewały się i wylewały fale ludności. Ludzie wchodzili tu, kupowali, targowali się, sprzeczali, brzękali monetą, odchodzili, w drzwiach rozmijali się z innymi ludźmi, którzy czynili to samo, aby z kolei odejść i miejsca ustąpić znowu innym. Więc widoki szpetne, zapachy ohydne, wrzawa piekielna, kurzawa, ciasnota, duszność i ani jednego powiewu świeżego; ani promyka słońca, ani kropli wody — zaprawdę! było to miejsce takie, w jakiem kwiat wszelki

cierpieć srodze, lamentować boleśnie i umierać przedwcześnie musi.

Skąd się tutaj wzięły? — niewiadomo, lecz przypuszczać można, że wśród ludzi, nieustannie tu wchodzących i wychodzących znalazła się ręka jakaś, najprawdopodobniej dziewczęca, albo dziecięcia, która je z zamiejskiej przechadzki przyniosła i w roztargnieniu porzuciła. Z zachwyceniem zerwany, w roztargnieniu porzucony, pęk kwiatów polnych leżał w najgłębszym kącie sklepiku, na stole chropawym i poplamionym, pomiędzy kawałami mydła, dużym kręgiem żółtego sera, zczerstwiałemi okruchami bułki, pustą butelką, która ziała wonią octową, i pękatym gąsiorkiem, żadnego zapachu niewydającym jeszcze, bo szczelnie był zamknięty, lecz który przy otworzeniu się wybuchnąłby niezawodnie nowym jakimś, zgryźliwym jadem.

Cóż zatem dziwnego, że kichały, kaszlały, jęczały, wiły się jak na torturach kwiaty, wyrzekając na to, że w pąkach nie pomarły, że wiatr ich nasion w morskich falach nie potopił? Cóż dziwnego, że biedne swe głowy łamały nad tem: po co się urodziły? po co cierpiały? po co

matka przyroda stworzyła je dla tak przedwczesnego, żałosnego, tragicznego końca?

Tak, tragicznego; bo zostawały one w sprzeczności podstawowej i bolesnej ze wszystkiem, co je otaczało, a kto wie, czy istnieje na ziemi tragiedya sroższa nad życie istoty tkwiącej w otoczeniu podstawowo i boleśnie sprzecznem z jej duszą? Dysharmonia, dysonans, zgrzyt; dobre to dla poetów, którzy niemi, jak skrzypacy kalafonią, struny lir swoich do dźwięczności pobudzają; lecz ci, w których duszach rozlegają się one, ogółem biorąc, bardzo rzadko miewają ochotę do śmiechu. Do śmiechu bardzo rzadko, lecz do śpiewania często, bo rzeczą pewną jest, że istnieją dusze do których ból przybywa w postaci czarnoksiężnika, który, gdy laseczką swą w nie uderzy, wytryska z nich zdrój pieśni, a im silniej uderza, tem zdrój wyżej tryska. Najczęściej zaś i najpowszechniej bywa tak z duszami właśnie kwiatowemi, czyli temi, co mają tkanki cienkie, wrażliwe, a nawskróś przepojone płomiennem ciepłem i światłem ojca swego — słońca.

Więc i tym razem, gdy dzień ku końcowi swemu kłonić się już zaczynał, uci-

szyły się kwiaty, na twardych okruchach, wśród przedmiotów niemile pachnących leżące i, czas jakiś nieruchomo, z trudnością oddychając, w milczeniu przeleżały. Aż Bylica pierwsza się ozwała:

— Ciekawa rzecz, co się tam w tej chwili na kochanem polu naszem dzieje.

Tego tylko było potrzeba, aby kwiaty do śpiewu pobudzić. Ton był podany: wszystkie z kolei podejmować go zaczęły. Bławatek podniósł nieco głowę, szeroko rozwarł swe szafirowe oko i zaśpiewał:

— O, piękne, czyste, rozległe, wonne pole! Z więzienia, do którego wtrąciły mnie złe losy, ślę ku tobie łzę wygnańca i uśmiech, którym w duszy tęskniącej rozkwita wspomnienie!

Bławatek posiadał ten rodzaj głosu, który nazywa się tenorem, a Rumian żółty, motyw jego podejmując, basem czystym i głębokim chociaż nieco zbyt grobowym, pieśń ciągnął dalej:

— O, miedzo moja rodzinna, miedzo zielona, Rumianami potężnymi, braćmi mymi najeżona, koronkami przytulii, puchami kocanek zasłana, czy w tej chwili znieba wysokiego padają już na cię krople rosy słodkie, przeczyste, perliste?

— Ach, któż tu, w tem miejscu rozpaczy i zgrozy, wspomina o rosie słodkiej przeczystej, perlistej? — pięknym mezosopranem przerwała śpiew Rumianowi Ostróżka i sama jedna zawodziła dalej: — Ileż razy, ile razy o tej przedwieczornej porze lubego Kąkolu mego, który z za kłosów złocistych pochylał ku mnie rumiane swe lica, zapytywałam: Miły mój, czyś pił już dzisiaj rosę? A on mi na to: o, droga, gdy pierwszą kroplę jej ześlą mi nieba, jak brylant wnet ją złożę na twych pięknych włosach! Takeśmy rozmawiali z sobą o tej przedwieczornej porze, gdy czerwone słońce zataczało się na wzgórza...

— A gdy z za lasu księżyc wschodził, srebrną światłością jego oblana, stałam posród cichego pola gwiazdą śnieżną, która z niw ziemskich jak równa równym patrzy prosto w oczy gwiazdom złotym, na nieba polach wysokich rozkwitłym. Na świat spływały woale księżycowe, w po wietrzu stały, ramionami się oplatając, świeżość i cisza, a jam rosę piła, włosy na wiatr puszczała i, w okrąg promienne płatki swe roztaczając, gwiazda ziemska, patrzałam prosto w oblicza gwiazd niebieskich.

Tak, z obwisłymi jak u smutnego zwierzątka płatkami, śpiewała gwieździsta przedtem Chryzantema, a wtórowały jej: Dzwonek, w kielichy swe uderzający, i Powój, który ze swej czarki szklanej wydawał długie, bezustanne trele. Zdjęta żalem i niemocą, Chryzantema przestała już śpiewać, a Powój trylował jeszcze, trylował ciągle cieniutką, wiolinową nutką, a że przytem różowe wargi jego rozwierały się szeroko, więc ulatywała z nich woń migdałowa tak silna i przejmująca, że zagłuszyła na chwilę zjadliwe zapachy mydła, nafty i tytuniu. W te zaś powojowe trele wmieszało się wkrótce westchnienie Bławatka:

— A teraz!

— A teraz! — powtórzyły głosy wszystkie i umilkły, zdławione głębokiem nad tak wielką zmiennością losów zadumaniem.

Aż nareszcie Rumian potężnym basem swym rozpoczął znowu:

— Ach, nic tak nie boli.,.

A wszystkie inne głosy zgodnym i pełnym bezbrzeżnego smutku chórem dokończyły:

— .... jak chwile szczęścia
Wspominać w niedoli!

Na to Bylica dłużej już w milczeniu wytrwać nie mogła. Nie śpiewała nigdy; mówić lubiła bardzo, ale śpiewać wcale nie umiała. Głosu nie miała, więc ile tylko w tej duszności okropnej i różnych innych mękach sił jej starczyło, tak silnie zawołała:

— A przestańcież choć raz gorzkie żale jak dziady pod kościołem, wyśpiewywać! Ej, ej! ja to zawsze myślałam sobie, że największem dobrodziejstwem Stwórcy jest to, iż żadnego ze stworzeń swoich nieśmiertelnem nie uczynił. Bywają niekiedy położenia takie, że myśl o śmierci ciecze na nie, jak balsam na ranę. Lecz są jeszcze i inne balsamy, a pośród nich najskuteczniejszy — bajka. Często razem z bajkami krążąc po siedliskach ludzkich, słyszałem pytanie: po co na świecie istnieją bajki? I różnie różni odpowiadają na to, ale najpospolitsze jest zdanie — że dla zabijania czasu. Bo wy nie wiecie o tem, że ludzie mają pewnego wroga zaciętego, któremu na imię: Czas, i który wiecznie chodzi po świecie z Nudą na ręku. Nuda jest zresztą jednem tylko z po-

między wielu dzieci Czasu, lecz ludzie najgorzej jej się boją i gdy tylko ją na ręku ojca ujrzą, wnet na obojga razem rzucają się z orężami najrozmaitszymi, które tam u nich noszą najdziwniejsze i najniezrozumialsze nazwy, jako to: karty, szklanki, bijatyki, plotki, flirty, komplimenty, rozmowy, czyli przelewanie z pustego w próżne, i tak dalej, bez końca litania cała nazw, udzielanych orężom do zabijania Czasu z Nudą, a do której-to litanii głowy lekkomyślne uczepić próbują imię bajki. Ale to jest nieprawda. Bajka wcale nie do zabijania Czasu służy, tylko... aha! zgadnijcie do czego? Oto do pocieszenia. Tak, tak. Mój Boże! ileż to razy w mojej włóczędze po świecie widziałam ja smutnych, których bajka rozweseliła; słabych, których pokrzepiła; bezsennych, którym czarne noce przeciągnąć przez życie dopomogła: chorych, którzy, głosu jej słuchając, mniej cierpieli. Za to też tylko ja bajarzy szanuję i lubię — za to pocieszanie. Jak tam zresztą jest, to jest, dość, że tak samo jak myśl o śmierci, tylko w sposób słodszy i milszy, bajka leje balsam kojący na rany tych wszystkich, których młyn życia choć parę razy już tęgo

na kole swem obrócił. Bo wy, niewiniątka, twarzyczki ładnie malowane, lecz doświadczenia żadnego niemające, ani domyślacie się pewnie tego, czem właściwie jest życie. Otóż ja wam powiem: życie to taki młyn, który serce istoty żyjącej na swe koło chwyta i — dalej z niem w drogę! W okrąg, w okrąg niesie, pędzi, szarpie, drze, tłucze dopóty, aż wszystkie kwiaty, jakie tylko w sercu wyrosły, wysypią się zeń w postaci mąki szarej i gorzkiej...

— Słuchaj, Bylico — ozwał się w tem miejscu poważny Dzwonek — mówisz płynnie i nawet dość ozdobnie, szkoda tylko, że w mowie twojej ładu niema. Zaczęłaś od śmierci, wpadłaś na bajkę, a z niej wskoczyłaś na koło młyńskie, do którego przyrównywasz życie. Jakoś nie trzyma się jedno z drugiem . .

— Nie przerywaj jej, Dzwonku — jednogłośnie poprosiły Ostróżka, Bławatek i Powój; — z przyjemnością, tego co mówi, słuchamy i ulgę to nam w cierpieniach przynosi.

— A co? — z tryumfem zawołała Bylica — otóż i macie potwierdzenie tego, co mówiłam. Zaczęłam tylko o tem i owem

rozpowiadać, a jużeście ulgę w cierpieniach swych uczuły! Niesłuszny zaś zarzut uczyniłeś mi, Dzwonku, że w mowie mojej jedno drugiego się nie trzyma. Na świecie wszystko się z sobą trzyma i wiąże, a sztuka rozumu w tem własnie, aby wiązadło dostrzedz i zrozumieć. Tak też i w mowie mojej: śmierć to pociecha, i bajka pociecha, a życie jest młynem, bo serca żyjących na gorzką mąkę miele, i jest zarazem bajką, bo gdy przeminie, to tak jak z bajki wątpliwość wynika: czy było, albo nie było? Bajka znów ze swej strony jest życiem bo żyje w niej dusza tego, kto ją wymyślił, i jest zwierciadłem, bo jak w zwierciadle odbijają się w niej dusze i losy żyjących. Czy zrozumiałeś, Dzwonku?

— Nie bardzo; snać dla umysłu mego wszystko to jest zbyt skomplikowane — ze szlachetną otwartością odparł Dzwonek i dodał: — oto lepiej opowiedz bajkę jaką, abym choć na chwilę zapomniał o bólu, który łodydze mojej sprawiają okruchy zeschłej bułki. Uf! jakby mię kto na rozsypanym grochu rozciągnął! Oj!

— Co tam groch! Świeżego powietrza nam brak, i w tem najgorsza męka nasza! — odezwał się Rumian.

— Ach, tak, tak, tak! — zatrylował Powój; — choć jednego powiewu świeżego powietrza, choć tak słabego, jaki sprawia przelatujące skrzydło skowronka!

— Choć kropli rosy. choć jednej, tak drobnej jak centka na skrzydle motylem! Tak pić chcę, że chyba wkrótce już umrę z pragnienia! — jęczała Chryzantema.

— A mnie — żałosnym tonem ozwał się Bławatek -- nic tak mocno tu nie dokucza, jak ta ciągła chęć do kichania! Powstrzymuję się, jak tylko mogę, aby delikatne tkanki moje nie popękały, lecz gdy tylko.. za-le-ci mię, gdy tyl-ko za-le ci...

Tu kichnął raz, drugi, trzeci i okresu rozpoczętego za nic do końca zbudować nie mógł, Ostróżka tymczasem z cicha zaszeptała:

— Co tam kichanie! Mnie do lubego kąkolu mego tak tęskno... tęskno...

A żółty Rumian grobowym basem swym rozpoczął:

— O! miedzo moja rodzinna, miedzo zielona, Rumianami potężnymi, braćmi mymi, najeżona...

Lecz przerwała im śpiew ten Bylica:

— Otóż i znowu wydaje mi się, jakobym wśród dziadów pod kościołem że-

brzących siedziała! Nie lubię tego. Takie wyrzekanie i lamenty to brak ambicyi, brak tego poczucia honoru, które pomiędzy ludźmi sprawiają, że w cierpieniach swych i niedostatkach wszelkich milczą jedni przed drugimi jak nieme kamienie, niepowodzenia wstydząc się więcej niż grzechu, a rozdartego serca — niż podartej odzieży, której jednak wstydzą się także bardzo. To piękne jest i pożyteczne, gdyż, jedni o drugich nic nie wiedząc, jedni drugim pomocy nieść nie mogą i tak do tego przywykają, że każdy sam o sobie tylko myśli, sam za siebie czuje, sam sobie radzi, — co wszystko razem wzięte, nazywa się u nich i n d y w i d u a l i z m e m. Śliczna to rzecz i drogocenna ten indywidualizm, zwłaszcza wtedy, gdy dojdzie do szczytu takiej góry, na której — jak brat witający brata — pada w objęcia egoizmu. Dużo mogłabym o tem powiedzieć, ale pocóż? skoro wy ani zrozumieć mię nie możecie, ani potraficie kiedykolwiek naśladować pod tym względem ludzi, wy kwiaty, wiecznie myślące i marzące tylko o kochaniach, wywnętrzaniach się podziałach wzajemnych, rosach, motylach, wietrzykach i tym podobnych ma-

midłach próżnych i nic honorowego w sobie nie mających. Bajkę wam lepiej opowiem; to was pocieszy.

Zamyśliła się na chwilę, przebierając między bajkami, których pamięć miała pełną, gdy ni z tego ni z owego, Chryzantema, głowę osłabioną od palącego pragnienia przypodnosząc, przemówiła:

— Ja opowiem!

Bylica krzywo nieco spojrzała na tę arystokratkę, zawsze dla niej niezbyt sympatyczną, a która teraz do współzawodnictwa z nią występowała. Jednak we wspólnem więzieniu nie wypadało towarzyszce niedoli wojny wypowiadać; więc tylko z cicha sarknęła:

— Ciekawam, jaka to będzie bajka! Pewnie pańska i wykwintna!

A Chryzantema, pomyślawszy chwilę i śnieżne płatki w krąg promienisty roztaczając, mówić zaczęła:

— Byłam raz w Niemczech...

— Oho! aż tak daleko! — mruknęła z przekąsem Bylica; lecz kwiat promienisty, przerwą tą niezmieszany wcale, ciągnął dalej:

— Byłam raz w Niemczech i rozkwitłam w ogródku pewnej dziewczyny śli-

cznej złotowłosej, imieniem Gretchen, która szalenie rozkochała się była w pięknym brunecie. Fauście. Pewnego ranka, ślicz... oj! oj, oj! Kachu! kachu! kchu, chu, chu, chu! Kurzawa z uli..cy... do gard.. gard... ła! Kachu! kchu! aj, aj!

— A czchi! a czchi! — Bławatek kichać począł, a gruby Rumian, kurzawą okryty, według zwyczaju swego klątwami wybuchnął:

— A bodajby cię ulewa niebieska do twardej ziemi przybiła! Bodajby cię zimne wiatry do piekła zawiodły, abyś dyabłom, nie kwiat m, gardła zasypywała!

Gdy uspokoili się nieco, Bławatek pierwszy do Chryzantemy przemówił:

— No i co dalej?

Chryzantema, jakkolwiek kaszlem mocno zmęczona, mówiła dalej:

— Pewnego ranka śliczna Gretchen chodziła po swym ogródku niezmiernie smutna, ponieważ do serca jej zakradła się wątpliwość, czy Faust ją kocha! lecz gdy spojrzenie jej cudnych oczu na mnie upadło, ucieszyła się bardzo i zawołała: o, jakże to dobrze, że spotykam cię, siostro! (nazywała mię siostrą dlatego, że sama do kwiatu była bardzo podobna).

Ty mi ciężar nieznośny z serca zdejmiesz — zagadkę, na której życie swe zawiesiłam, rozwiążesz! To mówiąc, zerwała mię i, najpierw pocałowawszy (oni, ludzie, zawsze tak robią: najpierw kogoś całują, a potem mu włosy z głowy po jednemu wyrywają), zaczęła mi z piersi wyrywać po jednym płatku przy każdym zapytując: kocha? nie kocha?

Tu Chryzantema, może na wspomnienie o smutnej pamięci Gretchen, znowu białe uszka żałośnie w dół opuściła i umilkła

— Cóż tedy jej odpowiedziałaś? — zapytało parę głosów.

Po krótkiem jeszcze milczeniu opowiadaczka rzekła:

— Odpowiedziałam: kocha!

— No, i nierozsądnie uczyniłaś, bo stąd całe nieszczęście wyniknęło! — wybuchnęła nakoniec Bylica, i rada, że przenoszącej ją o wiele w piękności arystokratce dokuczyć może, prawiła dalej: — Bo po pierwsze: wzajemność dla miłości tem samem jest, co oliwa dla ognia; gdybyś więc była tego płomienia tą oliwą nie podlała, możeby Gretchen, zamiast skończyć w więzieniu tragicznie i rychło,

przez długie lata spokojnie piekła smaczne speckkucheny i Schatzowi jakiemuś, mniej niż Faust przemądrzałemu, robiła wyborne skarpetki. Powtóre: nie należy nigdy za nic ręczyć. Prawdziwy mędrzec na całe życie wyrzec się winien wymawiania dwóch wyrazów: zawsze i nigdy, zwłaszcza, gdy idze o rzec tak nieskończenie kruchą i nieczystą, jak wierność mężczyzny. A po trzecie...

Lecz jakiem miało być to potrzecie, nikt nigdy dowiedzieć się nie miał, albowiem Bylica umilkła nagle, w wyprężonej postawie jej łodygi i liści odmalowało się przerażenie, aż istotnie z przerażeniem zaszeptała:

— Nowe nieszczęście spadnie na nas! Przygotujcie się do nowego nieszczęścia! Trzymajcie na wodzy nerwy, albowiem wnet, wnet coś zapewne okropnego w nie ugodzi!

— Jakie nieszczęście? krzyknęły kwiaty. — Jakto, nowe jeszcze nieszczęście? Cóż nowego nam zagraża? Czyśmy nie wyczerpały jeszcze aż do dna czary niedoli naszej?

Niestety! Niedola miewa czasem czary tak głębokie, że dna ich zobaczyć niepo-

dobna! Tym razem człowiek barczysty i krępy, zezowaty, ospowaty, włosami ciemnymi obrosły, zapewne właściciel sklepiku, głośno stukając buciskami, głośno do kogoś przemawiając, zbliżał się ku stolikowi, na którym wśród mydła, sera i butelek leżały polne kwiaty. Pewnie ten gąsior, dotąd szczelnie zamknięty, otworzy i wypuści zeń na świat nowy zdrój męki i jadu! Tak przypuszczała Bylica, lecz stało się jeszcze gorzej. Ku gąsiorowi istotnie dążył, ale po niego sięgając, tak szeroko zamachnął ramieniem, że rękawem odzieży kwiaty ze stolika zrzucił. Rozsypały się i wszystkie co do jednego, na ziemię pospadały na brudną, twardą szorstką ziemię, po której chodziły w różne strony liczne stopy duże, ciężkie, grubo obute, powołane do rozdeptywania kwiatów bez cienia skrupułu lub żalu bez wiedzy nawet tego, co czynią.

— Już tedy przyszła ostatnia godzina nasza! — zaszeptały kwiaty i umilkły.

Rzecz dziwna. Przedtem, aczkolwiek dokuczliwe, lecz stosunkowo lżejsze bóle i niewygody znosząc, jęczały kichały, kaszlały, lamentowały bez miary ni końca; a teraz, nieszczęściem ostatecznem do-

tknięte, wtedy nawet, gdy z otworzonego gąsiora wybuchnęła najjadowitsza z pomiędzy wszystkich woń spirytusu, gdy grube i ciężkie stopy co chwilę im najhaniebniejszą ze śmierci zagrażały, a ostatnia pociecha, którą było trzymanie się w kupie, przepadła, teraz w rozsypce, w pomieszaniu, oko w oko z tuż, tuż nadchodzącym swym końcem, ani głosu nie wydawały z siebie, ani najlżejszem nie poruszały się westchnieniem, tylko głowy swe w tył poodrzucawszy, przymrużonemi oczyma patrzały na wszystko, niczemu już nie dziwiąc się, o nic nie dbając, niczego nie lękając się, ani pragnąc. Zupełnie, jak kolorowe trupki...

Wtem, co to takiego? Nad rozsypanymi po brudnej podłodze kolorowymi trupkami schylają się dwie twarze drobne, a tak piękne, że niemal anielskie, dwie pary oczów, tak błękitnych, że do nieba są podobne, ze zdziwioną radością patrzeć poczynają w umierające oczy kwiatów i dwie pary rączyn, któreby za pączki różane poczytać można, nieśmiało, łagodnie, pieszczotliwie dotykają łodyg, liści, koron, aż nakoniec podejmują je z ziemi

i w drobnych paluszkach, z uwagą, z ostrożnością, z czułością kędyś unoszą..

* *
*

A było to tak. W tej właśnie chwili, gdy kwiaty w sklepiku nieszczęsne losy swe w sposób najrozmaitszy znosiły i opłakiwały, na znajdujące się za sklepikiem podwórze, niezmiernie do studni podobne, ponieważ czworokąt wysokich murów je otaczał, z podziemia noszącego nazwę sutereny, wypełzło stworzonko, na pierwszy rzut oka bardzo dziwne, ale gdy mu się było przyjrzeć, bardzo ładne. Miało ono dwie bose stopki, dwie rączyny, do pączków różanych podobne, sukienkę czerwoną w czarne centki, bardzo podartą, a nad tą sukienką — głowę, oblaną bladem złotem włosów, z twarzyczką chudą, lecz śliczną. Z otworu podziemia wypełzłszy, stworzonko to nigdzie dalej nie poszło, lecz, na jednym z kamieni bruku przysiadłszy, pochyliło się nad otworem i spojrzenie swe w nim zatopiło, czegoś snadź spodziewając się stamtąd, oczekując. Po chwili odrobinę zniecierpliwionym głosem zawolało:

— Mi-si! plę-dzej!

Aha! łatwo to było stworzeniu temu wołać: plędzej! ale drugiemu z otworu wyleźć bardzo trudno! Mniejsze jeszcze od tamtego, tak samo, jak tamto, miało bose stopki, rumiane rączyny, główkę ze złotymi włosami i sukienkę czerwoną, również w czarne centki i równie podartą. Kiedy po długich zapewne trudach wydostało się nad ziemię i na bruku podwórza stanęło, zachwiało się na bosych stopkach tak, że najpewniejby upadło, gdyby stworzonko pierwsze, nieco większe nie rozstawiło przed niem rączyn i tym sposobem go nie podtrzymało. Czyniąc to rzekło z powagą:

— Nie pad-nij!

Nie upadło, lecz zaledwie z niejaką mocą utrwaliło się na stopkach, wnet żałośliwym tonem zawołało:

— Mi-mi!

Były to tedy Misi i Mimi; imiona niewiedzieć jakie i stworzonka niewiedzieć jakie, z pod ziemi na kształt robaczków wypełzłe, a podobne do cherubinów. Podobieństwo to z cherubinami tworzyły ich twarzyczki okrągłe, z mistrzowską doskonałością linii zarysowane, świecące dwiema parami oczu błękitnych jak niezapo-

minajki i dwiema parami warg, podobnych do blado-czerwonych goździczków. Tylko że cherubiny miewają zwykle piękne rumieńce na policzkach, a one ich nie miały ani śladu. I nic dziwnego: głodne musiały być, gdyż z ust tego, które wypełzło na ostatku, zaraz po pierwszym okrzyku wyszedł drugi, jeszcze żałośniejszy:

— Chleb-ka!

Mimi zrazu nie odpowiedziało nic i wydawało się pogrążonem w głębokiem zamyśleniu, poczem, z odznaczającą je powagą, rzekło:

— Kodź!

I ująwszy Misi za rączynę, razem z niem puściło się w podróż. Była to podróż prawdziwa i do odbycia wcale niełatwa, bo dno studni, zwane podwórzem, jakkolwiek w rzeczywistości niewielką przestrzeń zajmowało, im wydawało się bardzo rozległem, a kamienie ostre i nierówne srodze bosym stópkom pochód naprzód utrudniały. To też Mimi i Misi szły z wielką powagą i uwagą, w milczeniu doskonałem, a tylko raz, gdy drobniejsze, potknąwszy się o kamień, znowu o mało nie upadło, większe ozwało się z ostrzeżeniem:

— Nie pad-nij!

— Nie! — tonem uległości odpowiedziało drobniejsze, i szły dalej, na kaczy sposób kołysząc się nieco w obie strony, a do mówienia, tembardziej do śmiania się, nie okazując usposobienia najmniejszego. Były smutne i, gdyby smutek mógł kiedykolwiek z takiemi jak one stworzonkami chodzić w parze, niezupełnie omyliłby się ten, ktoby powiedział, że były smutne.

W górze, nad otworem studni, wisiała szmata błękitu niebieskiego, który kędyś tam był może nieskazitelnym i świetnym, lecz tu, z za woalu kurzawy i wyziewów różnych, wyglądał spłowiało i mętnie. Sucho, twardo i dumnie wznosiły się ze stron czterech mury wysokie i suche, zimne połyski rzucały długie rzędy ich okien. Dnem zaś studni po różowych, ostrych kamieniach dwie boże krówki bose, w czerwonych sukienkach, czy dwa cherubiny ze złotymi włosy, kaczowatym nieco chodem, za rączyny się trzymajac, w milczeniu głębokiem odbywały trudną swoją podróż. Kierowały się ku małym drzwiczkom, wiodącym od strony podwórza do sklepiku, do tego samego sklepiku,

w którym tego samego dnia i w tej samej chwili odgrywała się tragedya kwiatów polnych.

Rzecz była w tem, że gdy matka wyrobnica spóźniała się z powrotem do podziemnego gniazda, lub z rana je opuszczając, nie miała czem napełnić dziobków piskląt, Misi i Mimi zawsze dążyły ku miejscu temu, gdzie sklepikarka litościwa w wyciągające się ku niej rączyny wkładała często bułkę lub obwarzanek, w rękach czasu przeobrażone w skamieniałość. Więc ku tym nizkim drzwiczkom, jak ku jedynej gwieździe nadziei, skierowywały one swą wątłą nawę zawsze, ilekroć czarnemi skrzydły okrył je ptak ten drapieżny i bezlitosny, który nazywa się głodem.

Nakoniec przybyły do celu podróży i zwycięsko, choć nie bez trudności, przestąpiwszy skałę, progiem zwaną, znalazły się w sklepiku. U ściany jego, u samej ściany, tuż przy progu stanęły i wnet, jakby za dotknięciem różdżki magicznej, twarzyczka Misi wykrzywiła się do płaczu. Nieszczęście! zawód okropny! klęska! Sklepikarki nie było — niewiadomo wcale dokąd poszła, a sprzedażą towarów zaj-

mował się sam sklepikarz, człek gruby, krępy, ospowaty, zezowaty, wprost straszny. Mimi i Misi lękały się go okropnie, choć przyczyny słusznej ku temu nie miały, bo nigdy nie uczynił im nic złego; lecz na dnie ich świadomości oddawna osiadło przekonanie głębokie, iż uczynić mógłby, wraz z nazwą, do osoby jego przywiązaną, a która brzmiała: stlasny pan! Więc Misi „stlasnego pana“ ujrzawszy, cherubinowe usta swe do płaczu wykrzywiło i byłoby pewnie beknęło na głos, gdyby Mimi, opiekujące się niem troskliwie i roztropnie, nie przestrzegło.:

— Nie pla-kaj!

— Nie — ulegle odpowiedziało Misi i stało się jeszcze cichsze, niż wprzódy; w zamian zaś sam opiekun po kilku sekundach nie wytrwał w milczeniu i cicho szepnął;

— Bułki!

Cherubinowe źrenice jego tkwiły w bułkach, duży kosz napełniających, i zrazu rozżarzone, jak blaskiem płomienia oblane turkusy szybko potem zachodzić poczęły szklistą powłoką. To samo zupełnie działo się ze źrenicami Misi i minuta nie upłynęła, gdy po chudych, lecz

mistrzowsko zarysowanych policzkach obojga ciekły sznurki świecących łez. Cicho ciekły bo w trwodze przed „stlasnym panem“ boże krówki bez łkania, bez wydawania z siebie głosu, choćby najcichszego, zmaczały u piersi czerwone swe sukienki łzami tak obfitemi, że zamiast czarnych osypały je gęsto centki brylantowe.

Wówczas-to sklepikarz szerokiem zamachnięciem ramiona zrzucił ze stołu kwiaty polne, które rozsypały się po brudnej ziemi i leżały na niej jak kolorowe trupki.

Mimi i Misi, odkąd żyły, nie widziały nigdy żadnego kwiatu i nie domyślały się nawet, że są na świecie przedmioty tak interesujące, nadzwyczajne, śliczne. O „strasznym panu“ zapominając, Misi wykrzyknęło:

— Cio to?

A Mimi odpowiedziało:

— Ca-ca!

I mniej niż w parę sekund rączyny ich ostrożnie, delikatnie, prawie trwożnie błądziły po liściach, łodygach i koronach pomdlałych kwiatów.

Podróż powrotna. Łup inny wcale, niż początkowo zamierzany, lecz niemniej

snać miły, bo Mimi i Misi unoszą go szybko w obawie może pogoni, aby go im nie odebrano. Daleko szybciej niż przedtem idą i nie trzymają się już za rączyny, bo każde w obu swoich niesie po kilka łodyg i kolorowych główek, które, z kurzawy, duszności i okropnych zapachów wyniesione, błękit nieba, choć spłowiały, ujrzawszy, zaczynają po trochu cucić się, wyprostowywać, poruszać liśćmi, roztwierać korony...

Było na podwórzu tem miejsce jedno, wielce przez Misi i Mimi lubione, a mianowicie: kąt pomiędzy klatką jakichś schodów zewnętrznych a trójkątem ślepego muru, bez okien. Ciemnawe i ciasne miejsce to było, niestety, śmietniskiem i w głębi swej posiadało spore, ze śmiecia usypane wzgórze; lecz ponieważ Misi i Mimi nie wiedziały wcale o hańbie, przywiązanej do wszystkich miejsc podobnych, a nikt ich w niem dostrzedz i, co zatem idzie, dokuczyć im nie mógł, więc uczyniły z niego scenę codzienną dla rzadkich swych zabaw częstych niedoli. Tu przybyły i teraz, na kamieniach bruku posiadały, a kwiaty na zboczu wzgórza umieściwszy, z silnie zaciśniętemi od wzruszenia piąstkami i

nizko pochylonemi głowami przypatrywać się im poczęły.

Pierwszy Bławatek rozwarł swe duże szafirowe oko i, z głębi łodygi westchnienie ulgi wydając, przemówi:

— Uf! jak mi dobrze! Oddycham! Już mię zupełnie ta przeklęta chęć do kichania opuściła! Patrz. patrz, Ostróżko, jakie to białe skabiozy pochylają się nad nami? Zupełnie podobne kwitły niegdyś w sąsiędztwie naszem, pod lasem! Bledziuchne są i okrągłe!

— Ja zaś — odrzekła Ostróżka — widzę dwie pary niezapominajek, pomiędzy nami a niebem zawieszonych. Błyszczą tak, jakby rosą były oblane..

— A ja — ozwała się Chryzantema — najwyraźniej dostrzegam dwa czerwone goździczki...

— Czyżbyśmy się znowu na pole, pomiędzy kwiaty dostały? — zapytał Dzwonek.

— Jesteście wszystkie nierozsądne — zawyrokowała Bylica. — To nie są skabiozy, ani goździki, ani żadne inne kwiaty. To są — dzieci.

— Ładne dzieci! — zadzwonił Dzwonek.

— Miłe dzieci! — grubym basem potwierdził Rumian żółty.

— Dobre dzieci, bo z piekła nas wyniosły i śmierć uczynią nam lżejszą! — westchnęła Bylica.

— Trzeba im za to pokazać, jak wygląda gwiazda! — rzekła Chryzantema i wszystkie swe śnieżne płatki w promienisty okrąg rozwinęła.

A Powój, uczuwszy w tej chwili zalatujący tu powiew wietrzyka, tak się ucieszył, że z całego kieliszka na wiolinową nutę zaśpiewał:

— Try-li-li! Try-li-li!

Przyczem wylał z siebie cały strumień słodkiej, migdałowej woni.

Misi i Mimi, po raz pierwszy w życiu widząc kwiaty, rozmowy ich nietylko zrozumieć, ale nawet dosłyszeć nie mogły i tylko spoglądając na szafirowe oko Bławatka, na jaskrawo żółte oblicze Rumiana, na liliowe kielichy Dzwonka, na liście Bylicy zielone, głęboko wycięte i białym atłasem podszyte, uczuwały coraz większą i coraz szerzej rozlewającą się po wnętrzach ich uciechę. Z czego właściwie tak się cieszyły? — powiedzieć trudno, bo przecież w losach ich nic pomyślnego nie zaszło; jednak cieszyły się i w ucieczce tej zupełnie przestały — na

chwilę zapewne — czuć w sobie szpony i dziób czarnego ptaka. Gdy zaś Chryzantema rozwinęła się w gwiazdę promienistą, a z różowego kieliszka Powoju wytrysnął strumień słodkiej woni, Mimi i Misi jednomyślnie na twardych siedzeniach swych podskoczyły i wybuchnęły śmiechem,

— Che, che, che! — śmiało się Mimi.

— Chi, chi, chi, chi! — wtórowało opiekunowi swemu Misi.

Tak z męk i śmierci zamordowanych roślin wykwitła radość głodnych dzieci.

Eliza Orzeszkowa.





Wiosna.

Przez pełne słońca idą łany
Jakieś poszepty, jakieś głosy,
Miłością cały świat pijany,
Miłosne hymny szumią kłosy,
I żar w kielichach kwiatów płonie,
Kiedy ku sobie chylą skronie...

Tęsknotą jakąś drży przyroda,
Bujne podnosząc swoje łono,
I marzy ziemia, marzy woda,
Czy świty w mgłach różowych toną,
Czyli wieczory ciche idą
Otulać senny świat chlamidą...

A człowiek jeden — król stworzenia —
Posępną twarz ma w onym raju
I próżno szuka zapomnienia
W słonecznej wiosny pięknym maju,
Bo w ciągłej walczą w nim roztercе;
Rozum i pełne szałów serce..

Stanisław Dębicki.



BABA.

Jeszczem nigdy u takiej pani nie służyła! — mówiła o niej każda kucharka, a przez zaciśnięte zęby dodawała:
— Cholera!... haruj dzień i noc, a nie dogodzisz, wydziwia ci to od rana do nocy... psuby się to sprzykrzyło, a nie dopiero człowiekowi. O, jak to terkocze... tyr, tyr, tyr!... a jakże będę ci jeszcze frotyrowała za te pieniądze: Niedoczekanie!...

Stróż Jacenty za żadne skarby nie chciał wody nosić dla tej „utrapionej baby“ z drugiego piętra, a sąsiedzi co tydzień pędzili ze skargą do „rządcego“ na panią kasyerowę, która ich uszczuplała w prawach kontraktem zawarowanych.

Ani razu pranie jeneralne nie odbyło się bez awantury o klucz od strychu, a o śmiecie na schodach codziennie bywały mniejsze lub większe utarczki z cudzemi służącemi.

W całej kamienicy najgłośniejszą lokatorką była pani kasyerowa, której obawiano się, jak ognia, unikano jak zmory, a którą obmawiano we wszystkich kuchniach od sutereny do poddasza.

Porządki w domu były jej największem utrapieniem ale i największą przyjemnością. Co sobota przewracano w mieszkaniu wszystko do góry nogami, myto, trzepano obkurzano przestawiano z jednego kąta w drugi. Od świtu hałasu i harmideru było więcej niż w bóżnicy.

Pan Ignacy wypędzany bywał o dwie godziny wcześniej z domu, dzieci w lecie ekspedyowano do ogródka, w zimie i w razie niepogody siedziały zamknięte w alkierzyku, a sama pani z froterem i służącą uwijała się, jak mucha w ukropie, dogadując swoim zwyczajem i narzekając na niedołęstwo służby.

Niech Bóg broni, aby się kiedy znalazła nitka pajęczyny pod sufitem; pani Ignacowa byłaby się po murze wdrapała;

aby ją zerwać, a potem przez tydzień wypowiadała biednej Anusi:

— Za co ja ci płacę i jeść daję!... Czego sama własnemi rękami nie zrobię, to nie zrobione. Pajęczyna po wszystkich kątach, od sufitu do podłogi nie obmiatana. U żydów mają czyściejsze sługi, niż u mnie...

Od pierwszego możesz poszukać sobie takich państwa, co lubią w śmieciach siedzieć po uszy, ale ja niechlujstwa nie znoszę!.. Jeszcze czego!.. cicho być, nie odpowiadać, kiedy pani mówi do ciebie.

Widok mola na wiosnę mógł do rozpaczy doprowadzić panią kasyerowę. Dżumy nie byłaby się tak przelękła, jak tego skrzydlatego drobiazgu na meblach. Na drugi dzień zastosowywano natychmiast wszystkie środki zagłady; smolakami, naftą i truciczkami czuć było przez dwa tygodnie całe mieszkanie. Pani Ignacowa sypiać nie mogła; zrywała się nocą w koszuli z łóżka i ze świecą chodziła po saloniku na zwiady, czy nie da się ułowić jakiego szkodnika, fruwającego nad kanapką utrechtem krytą i dwunastoma item krzesłami.

Pan Ignacy należał do „pantoflów“ przydeptanych od samego ślubu; przed

żoną miał respekt nie do opisania. Zawojowała go zupełnie; wszystko, co Justysia zrobiła, było najlepsze, co powiedziała święte. Drugiej takiej pięknej, dobrej, mądrej i gospodarnej żony nie było na świecie. Przed ludźmi udawał, że ma swoją wolę i że jest panem w domu, ale na cztery oczy z magnifiką pokorniał, jak student i dawał sobie prawić p a t e r n o s t e r, nie śmiąc słowa wybąknąć na swoje usprawiedliwienie.

Wszystko się na nim ostatecznie krupiło. Dymiły piece w zimie — on był winien, bo z gospodarzem się nie ułożył o reparacye; przeskrobały coś dzieci — jego wina, że ojcowskiej powagi nie używał należycie i wszystko na jej głowie zostawiał. Odpowiedziała szorstko sługa — pan Ignacy dostał burę, czego pozwala na to, aby sobie kucharka gębę rozpuszczała; podano wysuszoną pieczeń — znosił krzyż pański.

— Wszystko przez ciebie!.. Żebyś prosto z biura przychodził na obiad, nie jedlibyśmy przypalonej podeszwy, zamiast polędwicy. Tobie to wszystko jedno, boś ty pewnie po trzech śniadaniach!

Posądzała go najniesłuszniej. Zkądby miał na śniadanie, kiedy co pierwszego

musiał jej oddawać całą pensyą i liczyć się z każdego grosza. Przyzwyczaiła go obywać się bez pieniędzy.

— Ho, ho! — mówiła do niego — ja cię znam.... za kawalerskich czasów byłeś bibosz, grosz się grosza u ciebie nie trzymał; teraz skończyło się twoje panowanie. Powiedz twoim przyjaciołom, żeby mi się na oczy nie pokazywali, bo ich miotłą za drzwi wyproszę.

Kiedy wpadła w pasyę, nie przebierała w wyrazach, rękoma machała, jak wiatrak, łokcie jej podskakiwały w górę, na palcach stawała; mieszczańska natura przebijała z niej z pod towarzyskiego poloru.

Uważała się za weredyczkę, uprawnioną do mówienia prawdy każdemu; wszystko chciała najlepiej umieć i rozumieć, we wszystko musiała się wtrącić; znajomości miała bez liku, które zawiązywała sama z kimbądź przy lada okazyi. Chorowały dzieci u krawca w podwórzu, nieproszona, niewołana, poszła dowiedzieć się czem ich leczą.

—Dajże pani pokój z proszkami—perorowała zapłakanej krawcowej przy łóżku — zaklajstrujesz biedactwom żołądek i cher-

lać będą potem pół roku. Ja pani radzę doktora wyrzucić za drzwi, proszki za okno, bębnom dać ślazu na poty... ma pani ślaz?.. nie?.. to ja pani zaraz przyślę z góry i będzie do jutra dobrze. Mnie pani słuchaj: ja swoich troje wychowałam i nie z takiej choroby wyprowadziłam.

Dzieci wyzdrowiały po proszkach, ale pani Ignacowa przy każdej sposobności potem przytaczała je, jako przykład swojej własnej kuracyi.

— A co, dzieciaki zdrowe, jak cielaki... mówiłam, żeby mnie tylko słuchać.

Cudzemi interesami zajmowała się namiętnie. Czy co sprawić, czy sprzedać komu, czy swatać, czy rozwodzić, czy chować, czy chrzcić — pani Ignacowa do wszystkiego była gotową Nie czuła tego, iż się ludziom sama narzuca swą osobą i usługą, a utyskiwała:

— Wszyscy do mnie, jak w dym... Każdemu zrób, każdemu poradź, wszystkim pomagaj, a mnie złamaną szpilką nikt się nie przysłuży. Nieszczęśliwa natura taka, że nikomu nie potrafię odmówić.

Pan Ignacy patrzał na żonę z podziwem, z uwielbieniem. Kiedy zaczęła mó-

wić, a trudno jej było milczeć długo — słuchał z nabożeństwem, oczy mu się śmiały, głową potrząsał, ręce zacierał, całą fizyognomią wtórował jej słowom i nie mógł się powstrzymać, aby „swojej baby“ nie chwycić w pół nie podnieść w górę i nie ucałować głośno; smacznie, z entuzyazmem. Najczęściej za taką niestosowną przerwę w połowie piorunującej tyrady dostawał pulchną rączką żony po karku, ale to go nie zrażało do ponownych objawów czułości i zachwytu.

— Niema, jak moja baba! — powtarzał z takiem przejęciem się, z taką szczerą prostotą i wiarą, że trzeba było zazdrościć mu tego szczęścia, jakie uczuwał w związku z kobietą, którą wszyscy nazywali nieznośną, krzykliwą i utrapioną, z piekła rodem jejmością.

Kochał ją i przez pryzmat miłości widział żonę inną, niż była dla reszty świata. Zdawało mu się, iż wszyscy tak samo wielbić ją i podziwiać byli powinni, jak on; przyznawał jej słuszność we wszystkiem. Trudno było powiedzieć, aby pani Justyna miała gust dobry; ubierała się jak koczkodan, jaskrawo, krzycząco, według mody swojego wynalazku, ale pan

Ignacy zapewniał z ręką wzniesioną w górę

— Już to, jak moja babina się wysztafiruje, to niech się najpierwsza elegantka schowa; wygląda, jakby z żurnala wycięta, Dyabeł wie, zkąd ta kobieta ma tyle gustu!... a te wszystkie jej toalety, to mnie grosza nie kosztują.

On poczciwiec nigdy dosyć nadziwić się nie mógł, zkąd się brały te jej kapelusze nowe, okrycia, sukienki dla dzieci, zkąd w domu przybywały rozmaite porządki, graciki, drobiazgi i pod tym względem miał słuszność przechwalać praktyczność „swej baby“.

— Spekulant kobieta — mówił przymrużając jedno oko i pogwizdując znacząco — fiu, fiu, fiu!... z jednego zrobi trzy. Sprzedała moje stare buty i zrobiła sobie nowy kołnierzyk dżetowy. Założyłbym się, że potem sprzeda kołnierzyk, jak wyjdzie z mody i Julisi kupi rękawiczki. Do tego trzeba mieć osobny spryt i głowę, a ona ma!

Koledzy pana Ignacego utrzymywali, że ile razy zabałamuci się gdzie dłużej w towarzystwie, to wracając do domu na schodach zdejmuje już buty i cichuteńko wsuwa się na palcach do swego pokoju, aby nie obudzić śpiącej małżonki...

To nieprawda; ona nigdy nie spała, gdy jej Ignaś wracał zawieruszony, choćby o świcie, zastawał ją na nogach, z gotowemi wyrzutami na ustach, z migreną, z oczyma zapłakanemi, z głową obwiązaną, albo na odmiany z twarzą Gorgony, z piorunującem wejrzeniem, ubraną, jak do wyjścia, w kapeluszu, w okryciu, z parasolką w ręku, i ze słowami:

— Twoje szczęście, żeś wrócił, miałam właśnie pójść, szukać cię po mieście. Ty sumienia nie masz nademną, ani nad sobą. Precz!... zdaleka, nie zbliżaj się do mnie... Jutro się wyprowadzam od ciebie, nie chcę żyć dłużej z człowiekiem, którym pogardzać muszę:

— Ależ Justysiu!... ależ duszko, posłuchaj, proszę cię...

— Nie, nie, nie słucham; idź precz, jesteś pijany znowu.

— Kiedy, jak mi Boga trzeba przy skonaniu, nie piłem.

— Kłamiesz!... nie piłeś?... chuchnij! I pan Ignacy przybity, zgnębiony, musiał poddawać się tej małżeńskiej kontroli, w której powonienie pani Justyny wyrokowało, czy mąż wraca od kieliszka, czy od szklanki herbaty w kółku koleżeńskiem.

Małą to stanowiło różnicę w dalszych konsekwencyach małżeńskiej burzy, która budziła ze snu wszystkich sąsiadów za ścianą. Nie obyło się w końcu bez octu, bez kropli trzeźwiących, bez bieganiny do apteki i krajania kartofli w talarki, któremi spazmująca pani Justyna obkładała sobie rozpalone skronie do rana.

— Dalibóg, ja nie jestem wart takiej poczciwej baby! — powtarzał sobie na drugi dzień pan Ignacy, blady, niewyspany, zmęczony całonocną kręcaniną i wzruszeniami. — Dyabli mnie skusili grać wczoraj tego wista tak długo!.. Nie wolałem ja spać spokojnie?

Na szczęście dyabli nie często kusili pana kasyera, chociaż jedyną jego namiętnocią, pozostałą z czasów kawalerskich, były karty. Przysięgał że ich do rąk więcej nie weźmie — nic nie pomogło, same mu właziły. Zapomniał o ostatniej awanturze, zapomniał o Justysi, czekającej ze świecą na schodach, siadał do stolika i wygrywał — nową awanturę w domu.

— Zobaczysz, zobaczysz, wspomnisz moje słowa — mówiła mu żona — ty się doigrasz czego.

W złą godzinę wypowiedziała, doigrał się.

Skusiło go znowu raz fatalnie ; spróbował szczęścia w hazard, namówili go przyjaciele, których tak instynktownie niecierpiała pani Ignacowa, wciągnięto go w towarzystwo, szulerów z profesyi, siadł wieczorem do kart, a wstał o świcie. Karta mu nie szła, przegrywał coraz więcej, chciał się odbić i brnął coraz bardziej, jakby za karę, że był nieposłuszny babie. Zgrany do nitki, oszołomiony, nieprzytomny, zrospaczony, powlókł się do domu, chyłkiem, pod ścianami kamienic, jak złoczyńca. Dobrze już dniało, gdy stanął u progu mieszkania, byłby się chętnie przez dziurkę od klucza przemknął, bo jak zgrzytu łańcuszków piekielnych bał się skrzypnięcia swoich drzwi.

Nie skrzypnęły jakoś na szczęście i wszedł na palcah ośmielony ciszą w pokojach. — Zamiast żony, jak zwykle. wyszła do niego zaspana i wystraszona służąca, od której się dowiedział, że pani od dwu godzin nie ma w domu, poszła go szukać.

— Aus kapelusznik!

Te dwa wyrazy tragikomicznie wyrwały mu się z ust na wiadomość o ryzykownym kroku pani Justyny. Miał ochotę przeżegnać się i odmówić litanią za konających — ze strachu.

W godzinę później, z zamkniętej sypialni państwa, dochodziły odgłosy dziwnego dyalogu; zdawało się, że syczący boa rozmawia z beczącym barankiem.

— Nie kłam, nie ukrywaj łotrze!.. grałeś?

— Bóg świadkiem duszy mojej...

— Zaraz powiedz prawdę — znów grałeś; ileś przegrał?... dziesięć?... dwadzieścia? dwadzieścia pięć?

— Ach, Justysiu, żeby choć sto...

— Sto?... ssto?..

— Więcej, niestety!

— Dwieście?... żeby cię Pan Bóg skarał, człowieku!

— Żeby dwieście!

— Jezu Nazareński!... więcej, niż dwieście? może trzysta?... trzysta?

— Trzysta piętnaście — i to nie moich.

— Trzysta pięćdziesiąt!!!

— Nie, tylko trzysta piętnaście — poprawił skwapliwie głos delikwenta — Justusiu, tylko trzysta piętnaście.

Co dalej się działo za drzwiami małżeńskiego trybunału, o tem lepiej zamilczeć na wieki; faktem jest, że drugiego dnia pan Ignacy nie był po raz pierwszy w biurze od lat piętnastu, ale pieniądze przegrane znalazły się w dużym, czerwonym pugilaresie pani Justyny, o którego istnieniu dotąd małżonek nawet nie wiedział.

„Baba" składała w nim oszczędzone co miesiąca grosze na czarną godzinę, w tajemnicy przed mężem.

Miejsce uszczuplonej gotówki zajął oryginalny skrypt następującej treści: z własnoręcznym podpisem pana Ignacego:

„Żonie mojej winien jestem rs. trzysta piętnaście, które haniebnie przegrałem w karty pierwszy i ostatni raz w życiu, pokrzywdzając biedne moje dzieci. Dług ten święty obowiązuję się pokrywać coroczną gratyfikacą, jaką mi wyznaczą w biurze, zrzekając się zupełnie wszelkich pretensyj do moich dochodów w gotówce. Ostatni huncwot będę, jeżeli słowa nie dotrzymam".

Pan Ignacy miał łzy w oczach, gdy ten skrypt podpisywał, ale w duszy powiedział sobie:

— Dalibóg, moja baba ma rozum! — i byłby ją znowu ucałował po swojemu, gdyby się nie bał...

Maryan Gawalewicz.



Rozmaite przysmaczki.

do kawy herbaty i czekolady.

Babka do kawy.

Dwanaście deka młodego, niesolonego masła utrzeć łyżką w misce na pianę. Osobno ubić do białości dziesięć żółtek z małą szklanką cukru miałkiego. Gdy żółtka z cukrem ubite do białości, wlać je do masła i ucierać razem w jedną stronę. Następnie rozpuścić cztery deka drożdży szklanką letniej śmietanki, wlać tę rozczynę do utartych żółtek z cukrem i masłem, wsypać szczyptę soli, wymieszać i ucierać łyżką w jedną stronę Gdy to dobrze utarte, dosypywać po trochę suchej, przennej mąki i ucierać ciasto łyżką ciągle w jedną stronę; mąki ma być tyle, żeby ciasto było średniej gęstości. W ten sposób dobrze utarte ciasto postawić, żeby

wyrosło. Wtedy nakładać je do form wysmarowanych masłem i posypanych mąką. Nakładać w ten sposób, żeby ciasto wypełniło jedną trzecią część formy. Postawić w cieple żeby babki podrosły. — Wyborne są babki z tego ciasta nadziewane makiem lub konfiturą z róży. — Wyrośnięte ciasto rozwałkować cienko, nałożyć utartym makiem z cukrem i wanilią lub osączoną z soku konfiturą z róży, następnie zwinąć ciasto w podłużne rogale i układać w formy, a gdy ładnie podrosną smarować rozbitem żółtkiem i włożyć do gorącej bratrury.

Wyborna babka

Pięć deka drożdży rozpuścić w ćwierć litrze letniego, niezbieranego mleka, wsypać do tego cztery łyżki mąki, łyżeczkę cukru, odrobinę soli, wymieszać i postawić rozczynione drożdże w ciepłem miejscu, żeby podrosły. Dwanaście żółtek z ćwierć litrą miałkiego cukru utrzeć łyżką w misce do białości. Gdy żółtka z cukrem dobrze utarte, wlać do nich podrośnięte drożdże, rozmięszać, wsypać jedną litrę przesianej, najpiękniejszej mąki, pół łyżeczki

utłuczonej, przesianej wanilii i miesić ciasto ręką bardzo dokładnie przez pół godziny, następnie wlać pół szklanki letniego, sklarowanego masła i miesić ciasto jeszcze przez kwadrans; przykryć serwetą i postawić, żeby rosło. Gdy ciasto ładnie wyrośnie, nakładać je do form, które poprzednio wysmarować dobrze masłem i wysypać mąką. Ciasto ma zająć jedną trzecią część formy. Postawić babki w ciepłem miejscu a gdy podrosną tak, że ciasto wypełni formy smarować je rozbitem żółtkiem i wstawić do gorącej bratrury na trzy kwadranse. Zaraz po wyjęciu z pieca polać je lukrem zrobionym w następujący sposób: Pół ćwierci kilo cukru zalać pół szklanką wody i zagotować dobrze w kamiennem naczyniu. Następnie odstawić z kuchni i ucierać łyżką porcelanową w jedną stronę. W czasie ucierania wlać łyżkę rumu, wsypać trochę wanilii a gdy lukier zgęstnieje, oblać nim gorące babki.

Strucelki.

Łyżkę masła, cztery żółtka i trzy łyżki cukru utrzeć na pianę. Dać do tego

trzy deka drożdży, rozrobionych, w pół szklance mleka i wymieszać razem. Wsypać litrę najpiękniejszej, przesianej mąki, wlać szklankę letniego, niezbieranego mleka, wsypać łyżeczkę skórki pomarańczowej, utartej na tarku, posolić odrobinę i wszystko to razem wymiesić doskonale, poczem postawić w cieple żeby podrosło. Wtedy brać po trochę ciasta, wyrabiać na stolnicy wałeczki grubsze w środku niż na końcach i z trzech takich wałeczków splatać zgrabne strucelki, gdy podrosną układać na blachy wysmarowane masłem; po wierzchu smarować ubitą pianą i obsypać grubo tłuczonym cukrem. Włożyć następnie do gorącej bratrury na pół godziny.

Rogalki z makiem lub konfiturą.

Pół ćwierci kilo masła ucierać dobrze łyżką, gdy utarte do białości, wbić po jednemu pięć żółtek, jedno całe jajo, łyżkę cukru i utrzeć to wszystko razem na pianę. Wtedy wlać trzy deka drożdży rozrobionych poprzednio ćwierć litrą słodkiej, letniej śmietanki, dać trochę soli, odrobinę wanilii i wymieszać razem; wsypać trochę mniej, jak pół kilo mąki, tak żeby ciasto

było średnio gęste i wymiesić je bardzo dobrze. Gdy ciasto trochę podrośnie, rozwałkować je na pół palca grubo, krajać na kwadratowe placuszki i nakładać przygotowanym makiem, masą migdałową lub konfiturą osączoną z soku. Zwijać zgrabne rogalki układać w odstępach na blachę wysmarowaną masłem a gdy ładnie podrosną smarować rozbitem jajem i wsadzić do pieca na pół godziny.

Rogalki wykwintne.

Litrę najpiękniejszej, suchej mąki przesiać na stolnicę, dodać ćwierć kilo młodego masla i siekać siekaczem na stolnicy masło z mąką przez całą godzinę. Ubić w garnuszku cztery całe jaja, ćwierć litry młodej, kwaśnej śmietany, trzy deka drożdży i trochę cytrynowej skórki utartej na tarku. Gdy wszystko razem dobrze ubite wlać to do usiekanej mąki z masłem, wsypać trochę soli, łyżkę miałkiego cukru i wyrobić ciasto bardzo dokładnie. Gdy dobrze zamieszone zostawić przez pół godziny, żeby ciasto trochę wyrosło. Potem rozwałkować cienko nakładać konfiturami, osączonemi z soku, wyrabiać zgrabne rogal-

ki, układać w odstępach na blachę wysmarowaną masłem a gdy ładnie wyrosną smarować rozbitem jajem, posypać krajanymi migdałami, które poprzednio wymięszać z miałkim cukrem. Upiec w miernie gorącym piecu.

Precliki z makiem.

Pół kilo przesianej mąki rozetrzeć z łyżką masła, następnie wbić dwa żółtka, dwa całe jaja, dać 2 deka drożdży, 4 deka cukru, troszkę soli, i tyle dobrej, kwaśnej śmietany, żeby ciasto było tak gęste, jak na pierogi. Dobrze wymieszane ciasto brać po kawałku, taczać wałeczki, wyrabiać zgrabne precliki, kłaść na blachy smarowane masłem, w znacznem oddaleniu jeden od drugiego, żeby miały dość miejsca do wyrośnięcia. Gdy ładnie wyrosną, smarować rozbitem jajem posypać makiem i upiec w średnio gorącym piecu.

Obważanki kruche.

Szklankę masła młodego, nietopionego, trzy szklanki przesianej mąki, trzy żółtka na twardo ugotowane, przetarte przez sito

i pół szklanki cukru, wszystko to wymiesić bardzo dokładnie na stolnicy i wyrabiać lub wykrawywać z tego ciasta zgrabne obwarzanki. Smarować obficie ubitem jajem, maczać w cukrze zmieszanym poprzednio z migdałami sparzonemi i drobno pokrajanemi; układać na blachy wysmarowane masłem i upiec w średnio gorącej bratrurze

Obwarzanki migdałowe.

Ćwierć kilo młodego, niesłonego masła utrzeć na pianę. Siedm zimnych żółtek, ugotowanych na twardo, przetrzeć przez sito i wymieszać dobrze z utartem masłem. Dać ćwierć kilo sparzonych, utartych lub drobno posiekanych migdałów pół ćwierci kilo miałkiego cukru, soku i skórkę z jednej cytryny, łyżeczkę miałkiego, przesianego cynamonu i utrzeć to z masłem i żołtkami. Następnie wsypać ćwierć kilo przesianej mąki, wymieszać wszystko należycie, wyrobić zgrabne obwarzanki, posypać grubo tłuczonym cukrem, kłaść na blachę wysmarowaną masłem i wstawić do średnio gorącej bratrury. Obwarzanki te dobrze podług przepisu zrobione są wyborne w smaku.

Makaroniki.

Cztery białka ubić na pianę, wsypać, szklankę cukru miałkiego, utartego na tarku i utrzeć to razem na lukier. Następnie wsypać ćwierć kilo migdałów obranych z łupy drobno usiekanych, dać pół gałki muszkatułowej drobno utłuczonej i przesianej. Utrzeć to wszystko doskonale razem, wyrobić, ułożyć na opłatki, na blachę lekko młodem masłem lub woskiem wysmarowaną i włożyć w wolny piec, aby makaroniki wyschły.

Ciastka kruche.

Ćwierć kilo młodego,, niesłonego masła utrzeć łyżką w misce na pianę. Wbić do utartego masła trzy żółtka, wsypać dziesięć deka miałkiego cukru, dać pół laski tłuczonej, przesianej wanilii albo skórkę utartą z jednej cytryny i ucierać to wszystko razem bardzo dokładnie. Następnie wsypać trzy ćwierci funta (czyli ćwierć i pół ćwierci kilo najpiękniejszej, przesianej mąki i wymieszać dobrze razem. Wyłożyć ciasto na stolnicę posypaną lekko mąką, rozwałkować na grubość trzonka łyżeczki i wykrawywać foremką bla-

szaną małe placuszki. Wykroić dwa razy tyle placuszków, ile ma być ciastek; z połowy placków wykroić foremką lub kieliszkiem okrągłe środki, tak, żeby formowały obwarzanki. Placuszki z wykrojonemi środkami smarować rozbitem jajem i posypać grubo tłuczonym cukrem. Upiec ciastka w średnio gorącej bratrurze; gdy będą miały złotawy kolor wyjąć, a gdy wystygną smarować placki konfiturą i kłaść na nie obwarzanki a na wykrojone środki nałożyć trochę więcej konfitury, żeby ciastka ładnie wyglądały. Najsmaczniejsze są te ciastka nałożone konfiturą lub galaretą z malin, dobre są także z galaretą agrestową lub porzeczkową. Dokładnie podług tego przepisu zrobione ciastka, są niezwykle dobre i delikatne w smaku. — Z tego samego ciasta dobre są także precliki. Wyrabiać na stolnicy posypanej mąką z cukrem zgrabne precliki, smarować ubitem żółtkiem i upiec w średnio gorącej bratrurze.

Ciastka francuskie.

Pół kilo najpiękniejszej, przesianej, koniecznie suchej mąki zamiesić szklanką

wody. Gdy ciasto odstaje od ręki, jest już dobrze wyrobione; wtedy położyć je w chłodnem miejscu na pół godziny. Następnie rozwałkować ciasto na placek grubości małego palca. Wziąć pół kilo młodego masła, które musi być poprzednio oziębione w lodzie lub zimnej wodzie, żeby było twarde i wycisnąć je przez serwetę, żeby nie było wilgotne. Rozpłaszczyć masło na placek o połowę mniejszy od placka z ciasta, ułożyć je na rozwałkowane ciasto i nakryć masło zwijając brzegi ciasta tak, żeby się w środku połączyły i przykryły zupełnie masło, co będzie miało kształt koperty listowej. Potem wałkować ciasto lekko nie pociągając wałkiem do siebie, lecz zawsze tylko od siebie. Rozwałkowane cienko ciasto złożyć we troje i zostawić w chłodnem miejscu przez dziesięć minut. Koniecznym warunkiem, żeby ciasto francuskie się udało jest to, że musi się je robić w chłodnem miejscu. Następnie znowu ciasto cienko rozwałkować. Tak wałkować i składać ciasto przez sześć razy a po każdorazowem złożeniu, kłaść w chłodnem miejscu na kilka minut. Przy zwijaniu ciasta uważać, żeby się masło z ciasta nie wydoby-

wało a kiedy pod wałkiem w cieście bańki zaczną się robić, wtedy ciasto jest gotowe i dobre. — Przed upieczeniem trzeba ciasto rozwałkować cienko, następnie wyrabiać ciastka dowolnego kształtu, nakładać konfiturami, brzegi ciastek zawijać, po wierzchu smarować jajem rozbitem z wodą, posypać grubo tłuczonym cukrem i włożyć ciastka na blachach do gorącego pieca.

Ciastka francuskie z kremem.

Zrobić ciasto francuskie, jak w poprzednim przepisie podano; przed upieczeniem rozwałkować ciasto cienko i pokłuć. Po upieczeniu krajać równe kwadratowe kawałki i przekładać kremem zrobionym w następujący sposób. Ubić jedno żółtko z dwoma dekami mąki, gdy to dobrze rozbite, wbić jeszcze trzy żółtka, wlać ćwierć litry mleka, wsypać sześć deka miałkiego cukru i trochę tłuczonej przesianej wanilii, rozbić to wszystko razem dobrze i raz zagotować, gdy krem ostygnie nakładać nim ciastka. -- Ciasto francuskie zrobione z przepisu tu podanego udaje się bardzo dobrze w bratrurze.

Ciastka angielskie „Albertki.“

Jedenaście deka młodego masła utrzeć na pianę. Wbić do utartego masła trzy całe jaja, wsypać ćwierć kilo cukru miałkiego, pół laski miałko tłuczonej, przesianej wanilii, trochę utartej, cytrynowej skórki i pół łyżki dwuwęglanu sody; wszystko to ucierać wałkiem w makutrze przez pół godziny. Następnie wlać ćwierć litry surowej śmietanki do utartej masy; wymięszać razem, wsypać siedm deka najpiękniejszej mąki hreczanej i pół kilo bardzo suchej mąki pszennej. Ciasto ma być tak twarde, jak na kluski i musi być koniecznie długo i dokładnie mieszone; jeżeli z powyżej podanej ilości mąki, ciasto nie będzie odpowiednio twarde, w takim razie mąka jest wilgotną i trzeba jej dosypać trochę więcej. Doskonale wymieszone ciasto rozwałkować na pół palca grubo, tarkiem wycisnąć zagłębienia i wycinać okrągłą foremką ciastka. Blachy pociągnąć koniecznie woskiem (masłem nie mogą być smarowane) ułożyć ciastka i wstawić do średnio gorącego pieca na pół godziny. Upiec na jasno złotawy kolor. Zwracamy raz jeszcze uwagę, że ciasto

musi być bardzo dobrze i twardo zamieszone, gdyż to są konieczne warunki, żeby ciastka były dobre.

Ciastka długotrwałe.

Szklankę cukru, trzy całe jaja i dwie szklanki mąki ucierać wałkiem w misce w jedną stronę przez pół godziny. W ten sposób przyrządzone ciasto, nałożyć do formy wysmarowanej masłem, rozpłaszczyć je równo na grubość pół palca i posypać z wierzchu rodzynkami i migdałami, które poprzednio sparzyć, obrać z łupy i pokrajać podłużnie. Do tej ilości ciasta wystarczy sześć deka migdałów i sześć deka rodzynek. Następnie włożyć na pół godziny do średnio gorącej bratrury. — Zaraz po upieczeniu, gorący jeszcze placek pokrajać na dowolnej wielkości, podłużne ciastka i złożyć do słoja. Za kilka dni są dobre do użytku. — Ciastka te dadzą się długo przechowywać.

Cwibak.

Odważyć tyle cukru, ile sześć całych, surowych jaj w łupach zaważy; następnie wbić całe jaja do miski, wsypać odważony, miałki cukier i ucierać w jedną stro-

nę do białości (najlepiej wałkiem). Gdy to już doskonale utarte, wsypać tyle najpiękniejszej, suchej mąki ile ważyły jaja i ucierać znowu przez kilka minut. W końcu wsypać dwanaście deka oparzonych, cienko pokrajanych migdałów i dwanaście deka rodzenek bez pestek. Wymieszać wszystko razem dokładnie, włożyć do blachy wysmarowanej niesolonem masłem i wsadzić do średnio gorącej bratrury na trzy kwadranse. Zwracam uwagę, że migdały po sparzeniu trzeba wytrzeć serwetą, żeby nie były wilgotne. Dobry jest także cwibak z czekoladą; przyrządza się go w ten sam sposób, z tą różnicą, że zamiast rodzenek daje się dwanaście deka drobniutko pokrajanej czekolady.

Mazurki królewskie.

Sześć żółtek, dwie szklanki miałkiego cukru utrzeć do białości; wsypać trochę utartej, cytrynowej skórki, dwie szklanki mąki, dwie szklanki drobno usiekanych migdałów i ucierać to wszystko razem wałkiem w makutrze. Dodać pianę ubitą z sześciu białek, szklankę rodzenek czarnych, szklankę rodzenek bez pestek wy-

mięszać to wszystko dokładnie, włożyć do formy wysmarowanej masłem, posypanej mąką i upiec starannie.

Doskonały piernik wiejski.

Utrzeć w misce łyżkę masła, wbić do masła cztery całe jaja, wsypać ćwierć kilo miałkiego cukru i ucierać to wszystko razem w jedną stronę. Następnie dać pół kilo dobrego, surowego miodu i znowu ucierać razem (najlepiej wałkiem) przez kwadrans, wsypać do utartej masy łyżeczkę potażu lub dwuwęglanu sody i sporą łyżeczkę rozmaitych korzeni a mianowicie: cynamonu, goździków, pieprzu zwykłego i angielskiego, trochę cytrynowej skórki. Korzenie muszą być dobrze utłuczone i przesiane przez sito. Nakoniec wsypać jedną litrę pszennej, przesianej mąki, wymieszać wszystko razem bardzo dokładnie, włożyć do formy wysmarowanej masłem i posypanej mąką, posmarować piernik z wierzchu rozbitem jajem, ubrać oparzonemi migdałami, przez pół krajanemi i upiec w średnio gorącym piecu lub bratrurze.

Pierniczki.

Zagotować w rynce ćwierć litry czystego, dobrego miodu. Osobno zrumienić lekko pół ćwierci litry miodu i wsypać do niego utartą na tarku skórkę z jednej pomarańczy, raz zagotować wlać do miski i ucierać łyżką w jedną stronę, gdy ochłódnie, wlać ćwierć litry oziębionego miodu i wymieszać razem. Następnie wbić pięć żółtek i ucierać razem, dać ćwierć litry miałkiego cukru, łyżeczkę potażu lub dwuwęglanu sody, i utrzeć razem dobrze. W końcu sypać po trochę przesianej mąki i mieszać razem- Mąki dać tyle, żeby ciasto było tak gęste, jak na pierogi. Wymiesić je dobrze na stolnicy i wyrabiać w rękach albo taczać i wykrawywać foremką, małe grube pierniczki, ułożyć w odstępach na blachę lekko woskiem pociągniętą lub masłem posmarowaną i włożyć na kwadrans do średnio gorącej bratrury. Po upieczeniu polukrować pierniczki z płaskiej strony.

Piernik wykwintny.

Wsypać jedną litrę mąki do rynki kamiennej i przeprażyć ją starannie na

rumiano. Podczas prażenia mięszać często łyżką. Gdy mąka ładnie zrumieniona odstawić ją, żeby ochłódła... Pół kilo miodu zagotować trzy razy w kamiennem naczyniu. Zaparzyć tym kipiącym miodem kilka utłuczonych goździków i garść cykatek drobno pokrajanych i ucierać łyżką w misce w jedną stronę. Gdy miód zupełnie oziębiony, wsypać do niego pół kilo cukru w krupkach i ucierać razem wbijając po jednemu pięć całych jaj. Następnie wsypać łyżeczkę potażu i mąką, która musi być po przeprażeniu przesianą; wymieszać razem, wlać pół ćwierci litry masła topionego, letniego i wymięszać to wszystko bardzo starannie. Nakoniec wsypać ćwierć kilo drobno krajanych dakteli i ćwierć kilo drobno krajanych orzechów włoskich, wymięszać dokładnie, włożyć do formy wysmarowanej masłem i posypanej mąką i upiec uważnie, jak leguminę. Piernik ten dokładnie podług przepisu zrobiony jest znakomity w smaku. Przypominamy raz jeszcze, że mąka po przeprażeniu i oziębieniu musi być przesianą.

Makowiec.

Szklankę maku sparzyć kipiącą wodą, potem odlać wodę a mak utrzeć wałkiem w makutrze do białości. Wbić do utartego maku sześć żółtek i ucierać razem; gdy dobrze utarte, wsypać ćwierć kilo miałkiego cukru, kilka utłuczonych przesianych goździków, trochę miałkiego, przesianego cynamonu, skórkę utartą z pół cytryny; wszystko to razem ucierać wałkiem w jedną stronę przez pół godziny. W końcu wsypać pół szklanki utłuczonej przesianej bułki, dać dobrze ubitą pianę z sześciu pozostałych białek i wymięszać z makową masą lekko i dokładnie. Włożyć do formy wysmarowanej lekko masłem i wysypanej bułeczką. Piec w średnio gorącej bratrurze lub piecu przez trzy kwadranse. Gdy makowiec odstaje od brzegów formy jest dobrze upieczony. Dobrze jest po wyjęciu z pieca polukrować lukrem cytrynowym.

Tort orzechowy.

Ćwierć kilo miałkiego, przesianego cukru wsypać do miski, wbić do tego dzie-

sięć żółtek i ucierać łyżką w jedną stronę do białości. Gdy to doskonale utarte wsypać ćwierć kilo orzechów włoskich, utartych na maszynce. dać trochę tłuczonej, przesianej wanilii, cytrynowej skórki, i wymięszać, dokładnie. Ubić z dziesięciu białek pianę, znowu wszystko razem lekko wymięszać podzielić na dwie części i nałożyć do tortownic, które poprzednio posmarować cienko masłem i posypać tartą bułką. Piec powoli, tak, jak leguminę. Po upieczeniu przełożyć placki tortowe konfiturą z malin lub galaretą malinową. Można także przełożyć ten tort masą zrobioną w następujący sposób: dwie łyżki śmietanki, dwie łyżki cukru i szklankę obranych, drobno utłuczonych orzechów włoskich. utrzeć razem na pianę i przełożyć tą masą placki tortowe.

Tort migdałowy.

Jedenaście białek ubić na tęgą pianę, wsypać do niej pół kilo utartego na tarku cukru (cukier musi być utarty z głowy cukru) i ucierać łyżką w misce kamiennej, w jedną stronę, przez trzy kwadranse, a gdy wskutek ucierania powstanie

z piany i cukru gęsty lukier, wcisnąć do niego przez sitko soku z jednej cytryny i ucierać przez chwilę razem. Następnie wsypać pół kilo obranych z łupy, miałko zmielonych migdałów i wymięszać dokładnie razem. Wysmarować dwie tortownice lekko młodem masłem, posypać tartą bułką i nałożyć równą ilość masy do jednej i drugiej, wstawić do nie zbyt gorącego pieca na trzy kwadranse a po wyjęciu z pieca gdy torciki wystygną przełożyć je konfiturą. Najdelikatniejszy smak ma ten torcik przełożony konfiturą z róży. Tort ten dokładnie podług przepisu zrobiony jest bardzo dobry. Zwracam raz jeszcze uwagę, że cukier musi być w domu utarty i że migdały po sparzeniu i obraniu z łupki muszą wyschnąć, żeby nie były wilgotne. Tort ten da się długo przechować.

Tort morelowy.

Odważyć bardzo dokładnie dwadzieścia cztery deka młodego masła, dwadzieścia ośm deka mąki, i siedm deka miałkiego cukru, dać laskę tłuczonej, przesianej wanilii i zamiesić to wszystko razem na stolnicy. Następnie podzielić ciasto na

trzy części, zrobić trzy placki i upiec w tortownicach, posypanych lekko mąką (masłem nie trzeba smarować.) Po upieczeniu, gdy placki zupełnie ostygną przełożyć je masą zrobioną w następujący sposób: Siedm deka marmolady morelowej ubić do białości; osobno ubić z czterech białek tęgą pianę, wsypać do ubitej piany siedm deka miałkiego cukru i wymieszać razem; potem ubitą marmoladę bić razem z pianą, dając po łyżce piany do marmolady. Gdy wszystko razem doskonale ubite, posmarować połową tej masy placek, przełożyć drugim plackiem, znowu posmarować masą i przełożyć trzecim plackiem. Z wierzchu polukrować lukrem pomadkowym. Torcik ten dokładnie podług przepisu zrobiony jest bardzo lekki i doskonały w smaku.

Torcik kruchy z jabłkami.

Cwierć kilo mąki i pół ćwierci kilo masła rozetrzeć dobrze łyżką w misce. Następnie dać pół ćwierci kilo cukru miałkiego, jedno żółtko, wyrobić dobrze ciasto, uformować dwa ogrągłe placki tortowe, włożyć na blachę wysmarowaną masłem i upiec. Po upieczeniu przełożyć torcik

marmoladą z jabłek, zrobioną w następujący sposób: Ćwierć kilo cukru porąbać w drobne kawałki, maczać w wodzie i zrobić w kamiennem naczyniu syrop. Ćwierć i pół ćwierci kilo winnych, obranych z łupy jabłek pokrajać w cienkie płatki i rzucić do syropu. Dodać parę migdałów, pokrajanych w cienkie paski i trochę pomarańczowej, smarzonej w cukrze skórki, także w cieniutkie paski pokrajanej. Wszystko to razem, mieszając często, gotować tak długo aż jabłka będą przeźroczyste. Gdy marmolada zupełnie ochłódnie posmarować nią jeden placek tortowy i przełożyć drugim. Polukrować z wierzchu lukrem pomadkowym, pokrajać ładnie i podać do herbaty.

Torcik prowancki

Ćwierć kilo migdałów oparzonych przyrumienić na blasze, gdy ostygną utrzeć je w maszynce lub utłuc w moździerzu; ćwierć kilo cukru miałkiego wymieszać z migdałami i przesiać przez druszlak, żeby grudek nie było. Z dziesięciu białek ubić gęstą pianę, wymięszać z cukrem i migdałami. Wymieszaną masę po-

dzielić na dwie części i upiec w tortownicach, wysmarowanych lekko młodem, masłem i posypanych przesianą tartą bułeczką. Po upieczeniu, gdy torciki ostygną, przełożyć je masą kremową, zrobioną w następujący sposób: sześć deka zrumienionych poprzednio migdałów utłuc w moździerzu na olej. Ćwierć kilo masła deserowego i ćwierć kilo cukru miałkiego utrzeć razem z migdałami wałkiem w kamiennej misce. Dodać pół szklanki gęstej surowej śmietanki, wsypać pół laski utłuczonej, przesianej wanilii, wszystko razem utrzeć dobrze i przełożyć tym kremem torcik. Z wierzchu polukrować gęstym lukrem zrobionym z ćwierć kilo cukru i jednego białka. Utrzeć bardzo dobrze białko z cukrem łyżką na talerzu, dać pół kieliszka maraskino, wymieszać, polukrować tort a gdy lukier wyschnie ubrać torcik ładnie suchemi konfiturami.

Tort pomadkowy.

Utłuc w moździerzu ćwierć i pół ćwierci kilo (trzy ćwierci funta) oparzonych migdałów. Następnie wymieszać ćwierć kilo miałkiego cukru z utłuczone-

mi migdałami, skropić je odrobiną wody i utrzeć razem wałkiem w kamiennej misce. Trzy ćwierci kilo cukru porąbać, nalać szklankę wody i ugotować z tego, średnio gęsty syrop w kamiennem naczyniu. Do ugotowanego syropu dać utartą masę migdałową, wymięszać i razem zagotować, następnie wlać gorącą masę do miski i ucierać w jedną stronę. Gdy masa będzie zupełnie biała i gęsta podzielić ją na trzy części. Do jednej części wcisnąć przez sitko soku z pół cytryny, do drugiej dać łyżeczkę alkiermesu, do trzeciej pół tabliczki miałkiej, przesianej czekolady i pół laski utłuczonej, przesianej wanilii, gdyby ta część była za gęstą można ją skropić wodą. Półmisek tortowy posmarować wodą, rozpłaszczyć na nim równy okrągły placek z jednej części, następnie nałożyć i rozpłaszczyć część drugą, w końcu trzecią. Położyć z wierzchu blat z tortownicy i zrównać tort ażeby miał ładny okrągły kształt.

Tort pomadkowy z różą.

Trzy świerci kilo cukru porąbać w kawałki, włożyć do rynki kamiennej, na-

lać półtory szklanki wody i ugotować syrop. Gotować na wolnym ogniu a gdy się zacznie perłować, wsypać do syropu trzy ćwierci kilo oparzonych, utartych na masę migdałów, wymieszać i zaciągnąć na wolnym ogniu. Gdy się masa raz zaciągnie, wlać ją do dojnicy i zaraz gorącą ucierać wałkiem w jedną stronę. Gdy masa już doskonale utarta i gdy zupełnie zbieleje rozdzielić ją na trzy równe części. Do jednej części wsypać dwie tabliczki utartej na tarku, przesianej czekolady i wymieszać razem, drugą część zaprawić sokiem cytrynowym i pomarańczowym, a trzecią część wymieszać z łyżką konfitury różanej. Każdą część rozpłaszczyć na kształt placka tortowego i przełożyć opłatkiem.

Kazimiera i Wanda.



Magazyn towarów bławatnych i płócien
STACHIEWICZA i ABRYSOWSKIEGO. Lwów Rynek 32.

Magazyn towarów bławatnych i płócien
STACHIEWICZA i ABRYSOWSKIEGO, Lwów Rynek 32.

Magazyn towarów bławatnych i płócien
STACHIEWICZA i ABRYSOWSKIEGO, Lwów, Rynek 32.

MAGAZYN

towarów bławatnych i płócien

Stachiewicza i Abrysowskiego

we Lwowie, Rynek l. 32.

poleca

wielki wybór najmodniejszych materyi wełnianych i jedwabnych, Sukienka czarne i kolorowe, Jedwabie i Aksamity lyońskie, Kretony, Perkale i Satyny francuskie, Szale, Pledy, Chustki zimowe i letnie, Kapy i serwety gobelinowe i pluszowe, Kocyki do nakrywania łóżek.

PŁÓTNA

irlandzkie, rumburgskie i holenderskie

PERKALE, SZIFONY, DYMKI

BIELIZNĘ STOŁOWĄ

RĘCZNIKI i CHUSTKI do NOSA

Próbki rozsyłamy na żądanie franco.

Magazyn towarow bławatnych i płocien
STACHIEWICZA i ABRYSOWSKIEGO, Lwów Rynek 32.

*

MAGAZYN FUTER

M. A. AUGUSTYNA

we Lwowie, ul. Teatralna l. 7.

naprzeciw głównego wejścia do kościoła Katedralnego

poleca

we wszystkich rodzajach

FUTRA

GARNITURY

CZAPKI

olbrzymi wybór

najmodniejszych

BOA



WIERZCHY

DO

FUTER

i t. p.

Przyjmuje

FUTRA

do przechowania

na lato.

ZAKŁAD

ARTYSTYCZNO FOTOGRAFICZNY

E. TRZEMESKI

WE **LWOWIE**

ul. Trzeciego Maja 7.

WYKONUJE:

FOTOGRAFIE PORTRETOWE

Z POŁYSKIEM i PLATYNOWE

POWIĘKSZENIA

i REPRODUKCYE

Z KAŻDEJ FOTOGRAFII

OBRAZU i T. D.

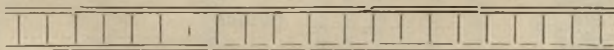
ZAŁOŻONY 1868



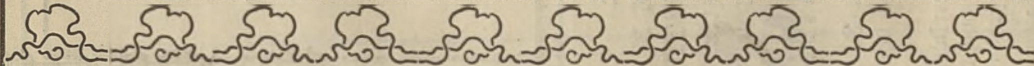

























Piotr Mikolasch i Sp.

we Lwowie, Pasaż Mikolascha

Chemiczne i Techniczne Laboratoryum.



Skład farb, lakierów, pokostów, —materyałów chemicznych — artykułów gospodarczych, budowlanych i technicznych — artykułów gumowych i chirurgicznych. — —

Główny skład wszelkich PERFUM, MYDEŁ i PRZYBORÓW TOALETOWYCH krajowych i zagraniczn.

Główny skład wszelkich Farb, i Przyborów malarskich artystycznych, jak: Pendzli, Płócien malarskich, Werniksów, Sztalug, Palet i Wzorów do malowania.

Główny skład wszelkich Wyrobów Szczotkarskich, Trzepaczek, Piórek, Miotełek, Rogóżek, Chodników kokosowych. - - - - -

Cenniki na żądanie gratis i franco.

JEDYNY RZECZYWISTY IMPORTER HERBATY!

Handel herbaty chińskiej

EDMUNDA RIEDLA

Lwów, ul Teatralna l. 3 druga kamienica od pl. Maryackiego.



poleca

HERBATĘ

zbioru majowego bezpośrednio z Chin sprowadzoną, ciemno naciągającą z wybornym smakiem i aromatyczną wonią pół kilo:

Congo czarna . . .	Nr. 1	K. 3·20
Souchong czarna , .	„ 2	„ 4·—
„ „ zbiór majowy	„ 3	„ 6·—
Kaysow czarna . . .	„ 4	„ 8·—
Melange de Londres .	„ 5	„ 8·—
Pecco kwiatowej , .	„ 6	„ 8·—
„ „ karawanowej	„ 7	„ 6·—
„ „ najprzedniej.	„ 8	„ 12·—
Gumpowder ziel. perł .	„ 9	„ 6·—
„ „ „ .	„ 10	„ 8·—
Wysiewki herbaciane .	.	„ 2·60
„ „ z najlepszych her.		„ 3 20

Ceny herbaty oznacza się na ½ kilo w paczkach pół ½, ¼, ⅛ kilo.

poleca najlepsze gatunki

KAWY

o smaku czystym i aromatycznym, które rozsyła franko, opłacone do każdej stacyi poczt. 4 ¾ kilo w woreczku:

Z centralnej Ameryki	K. 13.—	pół klg.	1·30
Jamajca	„ 14·—	„	1·40
Mexico gruboziarnista :	„ 15·—	„	1·60
Portorico , ...	„ 17·70	„	1·92
Cuba grubo ziarnista	„ 18·40	„	1 80
Ceylon zielona	„ 19·—	„	2.—
„ przednia	„ 20·—	„	2·08
„ grubo ziarnista	„ 21·—	„	2·16
„ perłowa	„ 21·—	„	2·16
Mocca arabska aromatyczna	„ 21 —	„	2·16
Jawa złota	„ 21·—	„	2·16

Opakowanie nie liczy się. — Zamówienia z prowincyi wysyła się odwrotną pocztą.

Wielki skład papieru, galanteryi i dzieł sztuk pięknych

oraz wszelkie

przybory do pisania, rysowania i malowania.

BILETY WIZYTOWE LITOGRAFOWANE i DRUKOWANE

poleca



we Lwowie, plac Maryacki

Katalog szczegół. franco.

Fr. Chladek

handel wyrobów żelaznych, metalowych — nożowniczych i blacharskich

we Lwowie — Rynek l. 45.

(róg ul. Grodzickich)

poleca

Naczynia emaliowane i wszelkie przybory kuchenne.

Noże

stołowe i kuchenne.

Łyżki, łyżeczki, chochle, etc.

z alpaki i chińskiego srebra.

Meble żelazne

Magle, wyżymaczki, maszyny do prania,

żelazka

Drewniane wyroby jaworowskie

w wielkim wyborze.

Towary doborowej jakości po możliwie niskich cenach.

